

NAKOLO SWIATA

LISTOPAD

103



HERBACIANKA OSKARA WOJNOWSKIEGO

Nie zawiera teiny i nie rozstraja organizmu.
Ządać w aptekach i składach aptecznych.
Cena zł. 2.50

Brozury p. t.: „Jak leczyć choroby ziołami
leczniczymi”, oraz porady listowne wysła
bezpłatnie:

BIURO SPRZEDAŻY SPECYFIKÓW OSKARA WOJNOWSKIEGO

Warszawa. Pl. Krasińskich 8,
tel 11.91-79.

W sprawie nadużyć w handlu dziennikami i czasopismami

Wobec stwierdzenia licznych nadużyć w handlu dziennikami i czasopismami, Polski Związek Wydawców Dzienników i Czasopism podaje do wiadomości, że sprzedawcy nie mają prawa wypożyczania czytelnikom dzienników i czasopism, tak za opłatą, jak i bezpłatnie.

Takie wypożyczanie pism do czytania lub przejrzenia nietylko rzuca umowę o sprzedaż komisową i dobre obyczaje kupieckie, lecz jest również nadużyciem, jakiego wobec wydawnictwa dopuszcza się sprzedawca, czyli przestępstwem, ściganem przez Kodeks Karny.

Ostrzegamy przeto wszystkich, których to dotyczy, że takie przestępcze działanie, tak ze strony sprzedawcy, jak i ze strony współwinnego czytelnika, pociągnie ze sobą odpowiedzialność cywilną i karną.

Występować przeciwko winnym na drodze sądowej karnej i cywilnej, będą zarówno wydawnictwa, jak i władze Związku Wydawców; nadto nazwiska winnych tych nadużyć będą publikowane na łamach prasy.

**Rada i Zarząd Główny
Polskiego Związku Wydawców
Dzienników i Czasopism**

Płóciennie, piękne oprawy do miesięcznika «Naokoło Świata» (jedna okładka na 4 numery miesięcznika) — stale do nabycia w Administracji «Tygodnika Ilustrowanego» w cenie zł. 2.50 za sztukę, komplet (3 oprawy) zł. 7.50. Przesyłka polecona 1. sztuki — gr. 75, kompl. — zł. 1.

„Wyścigi automobilowe” w Łazienkach



Fragment zawodów

W dniu 23-im ub. m. odbyły się w Łazienkach nader interesujące wyścigi dzieci na motorowych samochodzikach, organizowane przez ruchliwą firmę: Laboratorium Chemiczne „Stefan Rogiński i S-ka”, dla propagandy znanych preparatów do pielęgnowania zębów i ust „TLENOL-RA”. Zawody wypadły doskonale, i z uznaniem należy powitać myśl organizatorów urządzenia tak miłej imprezy. Wielu uczestników wykazało duży zapał sportowy i doskonale opanowanie maszyny nawet przy dość znacznej szybkości. Startowało czwórkami około 50 zawodników, z których każdy pierwszy przy-

bywający został nagrodzony, poczem zwycięzcy stanęli do półfinału.

Do finału doszli trzej zawodnicy, którzy otrzymali nagrody: pierwszą — Zdzisław Godlewski, drugą — Janusz Kowalewski i trzecią — Ryszard Dawidson.

Sympatyczna ta impreza odbyła się na dochód Komitetu Stołecznego L. O. P. P., który ofiarował zwycięzcom bardzo piękne plakiety pamiątkowe.

Przebieg wyścigów i rozdanie nagród były niejednokrotnie filmowane przez PAT, i miejmy nadzieję, że nowe zdjęcia oglądać będziemy mogli na ekranach stolicy i prowincji.

**Rozwiązania krzyżówki (100 zł. nagrody!) podamy
w następnym numerze**

***Bądź nowoczesnym
i podróżuj samolotem!***

Informacje i bilety: Tel. 547-60, 808-50 i biura podróży.

KOSMETYKI WYTWORNEJ PANI!

DENTOSAN

DAJE BIAŁE, ZDROWE ZĘBY.
NIE NISZCZY EMALJI.
PASTA ·· PROSZEK ·· ELIKSIR

HAZ-ELITE

IDEALNY KREM NA LATO!
MATUJE I ZABEZPIECZA
CERĘ OD WYSUSZENIA.

SAVONA

PROSZEK DO MYCIA GŁOWY.
USUWA NADMIAR TŁUSZCZU,
ŁUPIEŻ, OCZYSZCZA PORY
SKÓRY.

PETROL

PŁYN DO WŁOSÓW.
WZMACNIA CEBULKI,
NISZCZY ŁUPIEŻ.





Hultajska czwórka

Fot. Assoc. Press

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Szybkiemi krokami zbliżają się mrozy. Panie z wrażliwą cerą powinny się zabezpieczyć przed szkodliwymi wiatrami i niepogodą. Dlatego przed wyjściem na powietrze radzę natrzeć twarz *płynnym Goldcremem Abaridowym* i przypudrować tymże pudrem. Na noc twarz myć *otrąbkami Abaridowymi* w dobrze ciepłej wodzie i przypudrować *pudrem Abaridowym*. Rano twarzy lepiej nie myć, lecz wytrzeć watą zmoczoną we *wschodnim płynie Mimosa*. Szczególniej zalecam to Paniom, które mają cerę tłustą i w okolicach nosa błyszczącą. Usta przeciw opierzchnięciu smarować bezbarwną lub białą pomadką, nadawszy im przedtem żywy, naturalny kolor płynem *Rosein*, który jest w sprzedaży w 3-ch odcieniach: *ciemny, jasny i karminowy*. Dla Pań, które pragną utrzymać ton spokojny, polecam *ciemną Roseinę*, dla żywszego koloru *Roseinę karminową*. Jasnej do ust używać nie radzę, gdyż zwraca uwagę, i jest widoczne, że usta są robione. Natomiast do twarzy, jako róż, polecam płyn *Roseinę jasną*. Proszę pamiętać, że do rąk niema lepszego kremu, nad *Krem Pralatów*, którego odrobinę wcierać w ręce przed każdym wyjściem na ulicę, a głównie na noc.

M-me Ercèdes

Treść Numeru 103-go Str.

...Aby utrzymać się w formie przez zimę	5
Reportaż z ostatnich tygodni	6—7
<i>Sing Elton:</i>	
Zawód narzeczonego (rys. M. Walentyłowicz) . . .	8—11
<i>T. H. F.:</i>	
Drapacz nieba — mordercą	12—13
Dwaj znawcy	14—16
Dobrana kompanja (wkłęsłodruk)	17
Studjum ...trochę nieprzyzwoite (wkłęsłodruk) . . .	18
<i>M. Ch.:</i>	
Wędrowka owocu	19—21
<i>Z. Z.:</i>	
„Coup de vent”	22—26
Adolf Menjou o sobie	27—29
<i>Halina Nowaczyńska:</i>	
O różnych drapieżnikach	30—34
Takie to beznadziejnie szare (wkłęsłodruk)	35
Z wieży kościoła (wkłęsłodruk)	36
<i>El. M.:</i>	
Widmo gilotyny	37—39
<i>M. Berlacki:</i>	
W kraju Wikinów	40—43
<i>Stanisław Czosnowski:</i>	
Niuch tabaki i dymek z papierosa	44—48
<i>Włodzimierz Popławski:</i>	
Miasto nie zna ciszy	49—52
<i>Tadeusz Grabowski:</i>	
Pani naprawdę elegancka	53—57
Co przedstawiają te zdjęcia?	58—59
<i>Jarosław Janowski:</i>	
W cichym dworku (ilustr. St. Norblin)	60—66
Zdjęcia naszych czytelników	67
Rozrywki umysłowe	68
Lady (wkłęsłodruk)	69
Jesienna burza (wkłęsłodruk)	70
<i>Miecz. Chojn.:</i>	
Kobieta w reklamie	71—76
Historja jednego ogłoszenia (fot. W. Żeliszewska) . . .	77—80
<i>Jan Sokolicz-Wroczyński:</i>	
Jak powstaje przedstawienie?	81—85
Dział grafologa	86
Rozwiązania rozrywek, odpowiedzi etc. na III-ej str. okładki	

Okładka trójbarwna — fot. Paramount.

Adres Redakcji i Administracji
„N A O K O Ł O Ś W I A T A”
 Warszawa, Zgoda 12, tel. 722-14

Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi
 6 zł. 50 gr. zagranicą 10 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Wypożyczanie pisma u sprzedawców jest nadużyciem!

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 103

LISTOPAD 1932 R.



Maureen O'Sullivan

...ABY UTRZYMAĆ SIĘ W FORMIE PRZEZ ZIMĘ

Fot. Metro-Goldwyn

Listopad



REPORTAŻ Z OSTATNICH TYGODNI

NOWY PREZYDENT ST. ZJEDN.

LAUREAT NAGRODY NOBLA



Franklin D. Roosevelt odniósł w wyborach amerykańskich wielkie zwycięstwo nad Hooverem



Laureatem literackiej nagrody Nobla został w tym roku znany pisarz angielski John Galsworthy

RAID LOTNICZY

Kpt. Karpiński odbył wraz z mechanikiem Rogalskim potężny raid z Warszawy poprzez Turcję do Afganistanu (Kabul), skąd zpowrotem do Polski przez Palestynę i Egipt. Lot odbywał się na samolocie krajowej konstrukcji inż. Rudlickiego.



NAJWIĘKSZY OKRĘT NA ŚWIECIE

Niedawno spuszczone na wodę w Cherbourg (Francja) okręt „Normandie”, będący największym (70 tys. tonn) w chwili obecnej statkiem na świecie. „Normandie” będzie jeszcze jednym olbrzymem transatlantyckim.

DZIESIĘCIOLECIE MARSZU NA RZYM

Dziesięciolecie objęcia władzy przez Mussoliniego we Włoszech święcono bardzo uroczystie szeregiem obchodów i rewij, z właściwą wystąpieniom wodza faszystów pompą teatralną, która porywa tłumy włoskie.



ZMIANY POLITYCZNE W NIEMCZACH

Ostatnie wybory do Reichstagu wykazały osłabienie partii Hitlera na rzecz komunistów i innych grup. Hitlerowcy stracili 2 miliony głosów. Kanclerz von Papen znalazł poparcie w kołach wojskowych oraz wśród t. zw. junkrów pruskich.



SING ELTON

O zawodzie narzeczonego

Ilustr. M. Walentynowicz

Nieźmiernie ci współczuję, czytelniku, żeś się nie urodził w średniowieczu, kiedy to przygoda miłosna była peanem romantyczności, a ukochana kobieta, zamiast żądać od ciebie waluty, obieg w kraju mającej, sama cię obdarzała pistołami, holenderskimi dukatami, albo zgoła dublonami.

Nikt oka na takie procedury nie wykrzywał, przeciwnie, chwalono się w oczy inkasem, o ile było wybitnie nieprzeciętne.

Jakże się czasy zmieniły! Coraz rzadziej się słyszy słodkie słowo „masz!” — coraz częściej — „daj!” — i jedynie w Rumunji człowiek przedsiębiorczy może sobie uciulać majątek na zawodzie kochanka. Ale wszyscy przecież nie pojedziemy do tej krainy szczęścia, musimy się więc poświęcić narzeczeńskiemu zawodowi.

Zgóry zastrzegam się, aby panie tego rozdziału nie czytały: poco do kwasu małżeńskiej mizerji dodawać jeszcze rzeczywisty smaczek tych dni, które niegdyś były „cudnym śpiewem dwóch serc, bijących zgodnym rytmem”. Kto lubi robaczywe sliwki? Lepiej ich nie rozgryzać, a na oko jako tako wyglądają i leżąc nieruszone, świadczyć mogą o zamożności domu.

1. Patrz zezem na historję i opowiadania o ciepłych krajach.

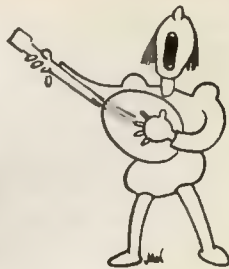
Jeżelibyś, młodzieńcze, mający niezrozumiały dla mnie zamiar próbowania sił w szrankach małżeńskich, miał choć przez chwilę chęć wzorowania się na postaciach historycznych narzeczonych — przyjdź do mnie (adres posiada redakcja), a służę ci będę czterema metrami angielskiej, nawoskowanej linki, oraz solidnym bakiem, który się nie urwie napewno. Powieszę cie-



bie z tą satysfakcją, jaką daje poczucie spełnienia czynu nader pożytecznego dla ludzkości.

Zastanów się, naiwniaczku: czyś widział postać historycznego narzeczonego, choćby nim był nieustraszony wojownik, któraby stanęła na kobiercu? Nie, nigdy! Taki wzdychulec walczył gdzieś niewiadomo po-

co, obnosił chustkę swojej damy po lwich jaskiniach, schnął z wierności, grzbietu na turniejach nadstawał — a po powrocie zastawał Dulcynę z dwójgim dziećmi i mężem, szczęśliwą i w dobrym zdrowiu.



I cóż takiemu pozostawało? Rzecz prosta, nie rozwałił łba przytupywaczowi, który mu taką wolę zrobił, tylko albo głupiał do reszty, albo szedł do klasztoru, bądź też unieszczęśliwiał innych, pętając się po świecie jako minstrele, zawodząc o złamanie serca, niewiernej kochance i cierpieniach, z tychże czynników powstałych.

Spróbuj teraz, drogi czytelniku, zrobić coś takiego! Pójdiesz do klasztoru — powiedzą, że się ukrywasz przed powszechnym obowiązkiem służby wojskowej, albo że masz jakiś straszny defekt, uniemożliwiający ci małżeństwo.

Pójdiesz na śpiewaka — jeszcze gorzej: konkurencja ze strony pieśniarzy podwórzowych żyć ci nie da — a po drugie, skąd wiesz, czy na bramie domu, gdzie mieszka ukochana kobieta, nie jest napisane: żebrakom, muzykantom i śpiewakom wstęp wzbroniony?!

Jeszcze będzie gorzej, jeśli posłuchasz, co mówią o ciepłych krajach: że tam każda kobieta — to cud wyśniony, poranek kąpiący się w rosie o zorzy majowej, głos ma



jak srebrny dzwoneczek, rączki i nóżki jak laleczka i t. p. brednie z Baedekera. Każdy drab znówuż to — hidalgo, oparty podczas kajątów nocy o sztachety parkanu, otaczającego jej dom, przygrywający na gitarze, albo smutny signor, płynący gondolą po kanałach Wenecji z pieśnią sentymentalną na wargach i smętkiem na licach.

Jeżeli w to wierzysz — wart jesteś bicia dębowym patyczkiem grubości ramienia. Byłem w ciepłych krajach, i wierzę ci, czytelniku, że to są nędzne łgarstwa, wymyślone przez biura podróży, a ci — co je powtarzają, jedyny ciepły kraj, jaki w życiu widzieli — to gabinet sędziego śledczego podczas badania. Kobiety południowe, smutny mój bracie, łase są na twoje drobne oszczędności — to pierwsze, a drugie — nie kąpią się wogóle, a coś dopiero opowiadać o jakichś tam rosach. Głos, ręce i nogi — zupełnie normalne, tylko może nieco mniej czyste.

2. *Jak postępować należy, kiedy się starasz o pannę; zachowanie się na pierwszym spacerze; w kinie; na wycieczkach.*

Kiedy już przekonałeś się, że opowiadania o posagu to nie kłamliwa retoryka, i wytłumażyłeś sobie, że wszystkie widzialne i ukryte defekty dadzą się doskonale zakryć przegródką z banknotów, powiedz w sercu swem:



— Oto ukochana kobieta! — i rozpocznij starania o jej rękę.

Nie znaczy to, żebyś jej miał powiedzieć poprostu, że będziesz szczęśliwy nad życie, jeśli zechce być twoją; że nie wyobrażasz sobie egzystencji bez niej; że jest tą, na którą czekałeś, o której śniłeś — to stare kawały!

Zacząłeś bywać; staraj się być wesół w towarzystwie; smutny i zamyślony, kiedy będziesz z nią we dwoje; od czasu do czasu nie odpowiadaj na pytania; dobrze jest również drgać nerwowo (tylko bez przesady: jeden z moich przyjaciół tak „drgnął”, że diabli wzięli wazon z sewskiej porcelany — a razem z nim narzeczeństwo) i splatać kurczowo palce. Mów głośno, kiedy jest więcej osób — cicho, kiedy jesteście sami.

Z tych oznak ukochana kobieta łatwo wynioskuje, że coś się święci.

Kiedy już jesteś tego pewny, zaproponuj jej spacer; sprzyja tego rodzaju imprezom pora jesienna i raczej popołudnie, niż ra-



nek. Wybierz miejsce najbardziej romantyczne: w Warszawie Łazienki, park wilański; w Krakowie planty od strony Wawelu; w Poznaniu — Sołacz i t. d. podług informacji miejscowych.

Na spacerze zachwycaj się naturą; mów o wędrujących liściach; zacytuj dwie-trzy strofy neurastenicznego wiersza; ale naogół mów mało: *napawaj się obecnością ukochanej*. Napawaj się tak, żeby to widziała i była z tego dumna. Po spacerze dziękuj jej długo; sciskaj rękę (nie wolno całować!!) i *chciej* coś powiedzieć, ale na litość Boga — nie powiedz. Po pożegnaniu, jeżeli sądzisz, że ciebie może obserwować, idź bardzo powoli i z lekko opuszczoną głową.

W parę dni po spacerze zaproponuj ukochanej kobiecie wspólne spędzenie wczesnego wieczoru w kinie; przez określenie „wczesny” dasz jej do zrozumienia, ile masz dla niej szacunku — a wieczór, bądź co bądź, pozostanie wieczorem.

Tu zwracam uwagę studujących ten podręcznik, że pod słowem „panna” należy rozumieć stworzenie boże w strachu przed swymi autorami i bocianem wychowane, do kina samotnie nie chodzące i drżące o swój wianuszek, jakby to była kolja z czarnych pereł.

Oczywiście, pójdziesz na film, który przedtem wybrałeś z wielu oglądanych; najlepiej niech to będzie historia miłosna, w której on cierpi. W każdej kobiecie jest coś z demona, a im dama głupsza, tem łatwiej ci będzie tego demona wykorzystać dla twoich celów.

Film jednak musi się kończyć happy end'em ze względów czysto psychologicznych.

Z chwilą zgaszenia światła zachowuj się następująco: zamiast patrzeć na ekran, skieruj płomieniste spojrzenie na twarz ukochanej; niech to zauważy jak najwięcej

razy. Unikaj jednak spotkania waszych oczu; lepiej zamiast tego dotknij, niby nie chcąc, jej ręki, a potem długo gładź się własną dłońią po fizjonomji. Nie należy w kinie kichać, drapać się etc. Cierp w milczeniu. *Nie mów ani słowa.*

Po wyjściu poddaj krytycznej ocenie grę aktorów, poziom techniki — czyn to jednak bardzo dyskretnie.

W sezonie wycigowym dobrze jest wybrać się na turf — oczywiście zaprosz i przyszłych teściów. Zrzuńnij się na łóżę: ten wydatek — to czysty zysk; wróci ci się wielokrotnie.

Na wycigach stale przegrywasz; nie narażaj ciębie na żadne koszty, jeżeli się przedtem umówisz z przyjaciółmi, aby ci oddawali przegrane bilety.

Nie drzyj się, kiedy konie będą na finiszu:

— Podawaj, Magdałiński, wal go, Diana, Diana, podawaj etc. etc., nie machaj rękami. Pamiętaj, jesteś lordem, masz pogardę dla przegranej, a jeżeli ci się wtróba skręca — cierp; pamiętaj, demon hazardu zgubił niejednego. Ciebie może „unatychniastować” odrazu.

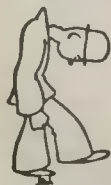


3. W domu ukochanej kobiety; wyznanie; oświadczyń; o krok od Veni Creator.

Rzecz prosta, że staniesz się codziennym i kochanym gościem; możesz się wówczas zachowywać swobodniej w domu ukochanej kobiety: jesteś na swoim terenie, strasz więc zające, jeżeli będą chciały zjadać twoją kapustę.

Oczywiście, nie należy upodobać się do odbezpieczonego granatu: jedno uderzenie i katastrofa. Przytupywacze fachowi poczuja pismo po pierwszej rozmowie z tobą — a kłusownicy pierwszą w popłochu na widok twego glejtu: *serdecznego a pełnego wzajemnego szacunku stosunku z rodzicami.*

Trudno, drogi przyjacielu! Teściowie nie są wcale takie straszne, jak je malują kochający zięciowie: są znacznie straszniejsze i jeżeli bestji odrazu nie ugłaskasz, cierpienia twoje skończą się dopiero w czyszcisku, gdzie





mimo grzesznego żywota zostaniesz skierowany przez odpowiednie instancje, gdyż piekło odbędziesz na ziemi.

Stosunki z teściową o mówię kiedy indziej, teraz zaś ograniczę się do jednej rady: *rób przed nią grzecznego chłopczyka*, wystąp za dziubdziul-

ka, za *posłusznego*, za bezwolnego dzieciaczka, który umie powiedzieć tylko: „Tak, proszę pani”, „dziękuję” — i przy każdej okazji: „Szanowna pani ma rację, *jak zwykle*”. Te prymitywne systemy, poparte *szczerem* spojrzzeniami, które będą miały za zadanie ukazanie prostej, jasnej duszy, przyjmą się — jak cebulka tulipana na wiosnę — i będziesz miał w ręku atut największy: sympatię przyszłej tesciowej. Z panną poczynaj sobie swobodnie: tryskaj śmiało aluzjami, jak trytony w ogrodzie Saskim wodą, w chwilach samotności dobrze jest mówić o miłości jako takiej, tylko, per Baccho, ostrożnie z rękami! W pewnej chwili, kiedy wyczujesz, że grunt dojrzał, powiedz, możliwie w momencie zupełnie nieoczekiwanym:

— *Czy ty rozumiesz?*!

I po chwili wyznaj miłość (o tem dokładnie w następnym rozdziale), poczem, jakby przerażony własną śmiałością wyjdź z mieszkania i po powrocie napisz list. Powinien to być chaotyczny elaborat, świadczący



o niesłychanych fazach zdenerwowania, jakie wstrząsają twojem jestestwem. Dzieło to musi być stworzone według wolnych zasad sztuki; najlepiej wzoruj się na mojej „Sztuce pisania listów miłosnych” (Naokoło Świata Nr. 102). Po napisaniu czekaj odpowiedzi: będzie napewno dobra! Zadzwoni telefon, daj mu pocierpieć chwilę, zdejm bardzo powoli słuchawkę i zmęczonym głosem rzuc w elektromagnesy:

— Słucham...

Żadne *halo*, czy też *jestem, kto mówi?* tylko posępne, beznajdziejnym tonem wypowiedziane:

— Słucham...

Dlaczegoś uciekł? — Przeraziłeś się własnych słów; straszny lęk porwał cię w szpony: przecież możesz ją stracić, coś warto jest twoje życie? O, wiesz, że byłeś szalony, ale dłużej cierpieć nie mogłeś. Wybuchnij *po długim milczeniu*; otwórz serce jak stodołę i *nie daj jej dojść do słowa*. A kiedy się wyładujesz — utnij nagle w punkcie kulminacyjnym i łamiącym się głosem szepnij:

— Niech mi pani wybaczy... Zrobi to napewno wrażenie, zacny mój przyjacielu!

Teraz jesteś u celu; mów dużo o swojej uczuciowości i nakaz ukochanej kobiecie, aby przygotowała swoich rodziców do oświadczyń.



Akt ten odpraw z godnością; bądź oficjalny, ale głos niech ci się *łamie* ze wzruszenia; siedź prosto — ale miej łzy w oczach.

A potem wejdzie ona — i otrzymacie według wszelkiego prawdopodobieństwa błogosławieństwo; znies to cierpliwie, bo niedługo już usłyszysz *Veni Creator!*

Teraz jesteś narzeczoną; staraj się możliwie skrócić ten okres, motywując to niecierpliwością miłosną. Pchaj się do ślubu, błednij, schnij — to robi napewno dobre wrażenie — i przyspiesz ten dzień, kiedy karetą zaprzężona w białe konie zawiezie cię do przybytku, gdzie po półgodzinnej męce duchowej i obcałowaniu limfatycznych kuzynek, podagrowatych wujaszek i t. p. krewnych (przeważnie ubogich) staniesz u celu, do którego wiódł cię ten rozdział mojej pracy.

Zakończenie

Wierzaj mi, drogi czytelniku, że te karty są tylko smutną koniecznością mojej książki. Miłość w małżeńskim sosie wygląda trochę dziko — i dlatego unikaj możliwie najdłużej tej instytucji; są jeszcze tacy, którzy się dobrowolnie żenią i zapewniam cię, że lepiej żerować na cudzej trawie, z rozkoszami dla podniebienia odmianami, niż jeść codziennie to samo siano, nawet, gdyby złób był złocony!

Drapacz nieba

Im więcej rośnie drapacz nieba, tem groźniejszej staje się morderca. Mordercą swą karierę rozpoczyna z chwilą wszczęcia budowlanych robót i nigdy jej nie przerywa.

Jeden z architektów amerykańskich, wybitny młody człowiek z Nowego Jorku, opowiadał o drapaczu, stojącym w środku miasta, który nabił trzy osoby i cznie. Nie działa się ocaleń, a tak matematyczną regularnością, że jeżeli w jednym roku ofiarą mordercy padły tylko dwie osoby, to można było być pewnym, że w następnym padnie ich więcej.

W jaki sposób drapacz nieba popełnia swe zbrodnie? Dzieje się to bardzo prosto. Kruszą się i odpadają kawałki gzymsów lub innych architektonicznych wyższych pieter budyń. Spadają na głowy przechodniów ulicznych. Zarywają, nie każdy kawałek muru trafia w człowieka, gdyż w tym razie padełby śmiercią na ulicach nie tylko byłby straszliwy. Lecz przechodzący z kichając w Nowym Jorku, Chicago czy San Francisco należy zawsze pamiętać, że w każdej chwili jest się narażonym na nagłą śmierć.

Wypadki stają się najrozmaitsze. Kilka miesięcy temu w Nowym Jorku pewien urzędnik miał spadek się ze swą narzeczoną, pędzącą w kilkunastu piętrowym gmachu. Ciepło napławiło na brzegu wodnym przed domem. W którego miała wjechać. Nakoniec ukała się w drzwiach, a w chwili gdy zdejmowała kapelusza, urwał się zębami kawałek ornamentu ze szczytu budynku. Kawałek ten spadł niebezpiecznym zbiegiem okoliczności młodym człowiekowi na głowę, przebijając mu czaszkę.

Gmachów nie poprzestano na tej jednej ofierze. Parokrotnie przywołano detektywów, lecz nie przyniosło to skutku i nie było to stwierdzone, że jedynym mordercą we wszystkich wypadkach był drapacz nieba.

Co jakaś opinia publiczna z Nowego Jorku została zszokowana nowym morderstwem i domaga się środków zapobiegawczych, nikt jednak nie umiał ich wskazać.

Przeprowadzane śledztwa nie prowadzą do niczego. Wypadek idzie w zapomnienie na tak długo, dopóki nie zdarzy się następny. I znów śledztwo z takim samym wynikiem.

Drapacz nieba nie ustaje, w poddaniu. Niektóre z nich wchodzi na dachy i zrodni w momencie swoich nieszczęśliwych podjęć budowania domy, w zasmakowaniu we krwi stają się tak niebezpieczne, jak tygrys w zęchu dzungli.

Wudziestu osiem osób zginęło w katastrofie budowlanej przy budowie niedawno ukończonego gmachu w Nowym Jorku. Pół miliona stamtąd zginęło dynastu dwóch, zanim skończono budowę linii nieszczęśliwych wież. Po zakończeniu budowy, ilość morderstw maleje, lecz po chwili, a coraz częściej zaczynają spadać kawałki muru na głowy nieszczęśliwych przechodniów.

Pewien znany dziennikarz angielski, który podróżował po Stanach Zjednoczonych, opowiadał, jak kiedyś przebiegł śmierć, gdy przechodził pod gmach „Empire State Building”. Kiedyś sobie pomyślał, że gdyby się przebiegł pod gmachem, to by się przebiegł pod piętrem, a nie pod szczytem drapacza. Kilka dni później dowiedział się, że ten, który przebiegł pod piętrem, a nie pod szczytem drapacza, żyje.

Kilka miesięcy temu w Nowym Jorku, w ciągu pół godziny zginęło pięć osób, gdy spadła kawałek muru z szczytu gmachu. W tym czasie malował Zeppelin, który spadł na dach, a nie mały kawałek muru z szczytu gmachu.

W tym czasie w Nowym Jorku, w ciągu pół godziny zginęło pięć osób, gdy spadła kawałek muru z szczytu gmachu.

morderca!!

popychają najwyższe amerykańskie drapacze do zbrodni okropnej, polegającej na nagłych przecięciach na wielkich upałach do straszliwych mrozów, różnice temperatury i kurczliwość stali i innych materiałów budowlanych, choć przewidywane w architektonicznych obliczeniach, wpływają jednak w pewnym stopniu na kruszenie się murów i na nagłą śmierć wielu amerykańskich obywateli.

Nie ulega wątpliwości, że morderczy apetyt drapaczy nieba rośnie proporcjonalnie do ich wieku. Kawałki attyk, gzymsów i ornamentów tych dziurawych niebiosów wiatru i deszczu i spadają w dół, na uliczny bruk o paręset stóp poniżej.

Ogólna opinia w amerykańskich miastach jest taka, że każdy wysoki gmach powinien być odnawiany w najgorszym razie po trzydziestu latach, lecz jest bardziej niż prawdopodobne, że mało jest drapaczy nieba, którzy o wiele wcześniej nie stali się groźbą dla publicznego bezpieczeństwa. Innym jeszcze czynnikiem jest jakość materiałów i sposób wykonania roboty budowlanej. Nauki techniczne dawno już doszły do wniosku, że wszelkie materiały tracą z czasem na wartości. Objawia się to pękaniem i kruszeniem, a konsekwencje pociąga za sobą zawsze fatalne. Choć więc inspektorzy budowlani i cały szereg ekspertów ma stały nadzór nad budową w miarę jej postępu, to jednak zdarzają się częste skandale, gdy budującą nieostrożność się do przepisów, do wykonania i jakości budowlanej. Wystarczy tylko o wznoszącym się na kilkadziesiąt stóp nad głowami ludźmi gmachu, by uprzytomnić sobie straszliwą katastrofę, jakie może za sobą przynieść niedbałość.

Względem bezpieczeństwa zbyt wielkiej ilości piasku przy robieniu cementu może oznaczać śmierć wielu przechodniów.

„Nie zdziwi mnie to wcale, jeśli za dwadzieścia lat wiele z drapaczy obmur rozsypanych w grzy” powiedział architekt, który, podróżując po Stanach Zjednoczonych, miał sposobność przyjrzenia się budowie nowych gmachów.

„Możecie zobaczyć budowę podmiejskie, która nie buduje żadnych wypadków”, dodał, lecz jego zdaniem to budujące drapacz nieba, niebezpieczne niebezpieczeństwo.

Morderstwa drapaczy nieba to nie tylko jedna strona tragedii. W ciągu roku więcej jeszcze osób pada ofiarą morderstwa lub katastrofy wewnętrznej budynków.

Podpitych windy, niszczących wózków i wózków po kilkadziesiąt piętrowych, co pewien czas spatrzyła sobie ofiary. Coś jakiegoś, jak byś wstał, między kłębami windy a drzwi któregoś z piętrowych.

Od czasu do czasu zdarzają się wypadki zerwania liny, winda ze straszną szybkością spada w dół. Zjawiają się kłębki obrzydliwych i karetka pogotowia odwozi nieszczęsne ofiary do szpitala.

Lecz życie w drapaczu nieba nie jest tylko zwykłym codziennym biegiem. Nikt nie zwraca na tragiczne wypadki większej uwagi, chyba, że chodzi o krewnych lub znajomych.

W jednym z słynnych nowojorskich gmachów w przeciągu ubiegłego roku zdarzyło się sześćdziesiąt wypadków, z których dwadzieścia było śmiertelnych. A jednak w domowym przestępczym wszystkim możliwych przestępstwach.

W tym czasie w Nowym Jorku, w ciągu pół godziny zginęło pięć osób, gdy spadła kawałek muru z szczytu gmachu.



dwaj znawcy

nowela kawiarniana

Z tyłu, za plecami memi dwa męskie głosy dysputowały ze sobą namiętnie. Wysocki — dźwięczny, żywy, energiczny głos i matowy — niski, poważny — niezwykle pewny słuszności wygłaszanych sądów głos starszego — jak to sobie wyobrażałem — pana.

Siedziałem tu około godziny — bawili mnie te dwa głosy — tak przyjemnie odbijające swą świeżością od mętnego kawiarnianego zgielku — początkowo tylko dla samego dźwięku. Prawie nie zauważyłem, jak sam powoli zacząłem wciągać się w dysputę moich sąsiadów.

Właśnie skończył się foxtrott.

Drogi panie — usłyszałem spokojny głos starszego pana — największą, decydującą rolę odgrywa tu snobizm. Niestety snobizm jest dla nas Polaków chorobą nieuleczalną — chorobą chroniczną. Czy pamięta pan: dawno już zalił się ktoś, że „co Francuz wymyśli — to Polak polubi”. Od wieków wydawało nam się, że nie wypada nam pokazywać własnego oblicza, że konieczne trzeba być kimś innym: Francuzem, Anglikiem, czy kimkolwiek, kto był w modzie, byle nie sobą. Tak, tak, traciliśmy własne oblicze... Czy myśli pan, że teraz jest lepiej? — Absolutnie nie! Tyle, że teraz znaleźliśmy inne ideały i inne bóstwa i nagwałt amerykanizujemy się. Pijemy whisky z sodą, żujemy gumę, uwielbiamy amerykańską muzykę jazzową, nosimy rogowe okulary... Tak wżął się

w nas robak snobizmu i tak nas toczy. Tracimy oblicze... tak... tak...

O! tu przede mną stoi kieliszek koniaku. Porządnego, dobrze spreparowanego koniaku krajowego. Nie wstydzę się, że go zamówię. Prostu jestem przekonany, że krajowy koniak w niczym nie ustępuje zagranicznemu i nie widzę racji, dla której miałbym żądać zagranicznego. A przecież wielu gentlemanów uważałoby sobie za ujmę, gdyby mieli zamówić koniak krajowy. Tak trudno nam się wyleczyć z tej choroby — snobizmu!

Muzyka zaczęła znowu grać. Na chwilę przestałem słyszeć głos starszego gentlemana.

O dwa stoliki przede mną siedziała para młodych ludzi, którą przez cały czas przemowy starszego pana obserwowałem. Byli młodzi bardzo i bardzo szczęśliwi. Bawili się sami — zupełnie sami w tym pełnym, natłoczonym ludźmi lokalu. Cieszyli się swoją młodością, muzyką i winem. Za chwilę poszli tańczyć. Zadumałem się głęboko nad szczęściem — nad prawdziwym szczęściem ludzkim, które kwitnie tylko tam, gdzie znajdzie odpowiednią glebę — miłość. W ciszę moich rozmyślań wdarł się znowu dźwięczny głos młodszego z panów w sąsiedniej łóż. Zdawał się kończyć jakąś dłuższą przemowę: — ...i właśnie tam we Francji, która jest (pan wybaczy banalne słówko) ojczyzną koniaku — tam potrafią przyrzadzić go w sposób bezkonkurencyjny. I proszę mi wierzyć, że — jeżeli piję tylko koniak zagraniczny — nie robię tego wyłącznie przez snobizm.

— Wybacz pan niedyskretne pytanie — ale czy... pił pan koniak krajowy? Głos starszego pana zamilkł wyczekująco.

— Nie — to znaczy ściślej: nie przypominam sobie.

— Och, to się da bardzo łatwo nadrobić — roześmiał się sympatyczny starszy pan — poprostu: napijmy się.

Za chwilę postać kelnera żeglowała wśród stolików w kierunku sąsiedniej łoży, a z tacy dumnie spoglądała butelka koniaku Winkelhausena.

Potem padły już tylko dwa słowa:

— Dobrze?

— Doskonale!

Milczeli przez chwilę.

— Widzi pan — sprawa przedstawia się tak: „ojczyzna koniak” owszem! Ale niech pan nie zapomina, że „ojczyzną koniak” jest przedewszystkiem ojczyzna wina! Że nie koniak jest chlubą francuskich winnic, ale wino — wino — bardzo dużo, bardzo dobrego wina! Koniak jest już produktem — powiedziałbym — wtórnym. My nie jesteśmy w stanie produkować tak dobrego wina z tej przyczyny, że wina gronowego wogóle nie produkujemy. Ale koniaki — koniaki

stały się od pewnego czasu oczkiem w głowie naszego przemysłu wódczanego. Za punkt honoru stawiamy sobie produkowanie koniaków nie gorszych od najlepszych koniaków francuskich. Nie jest to rzeczą niemożliwą — idzie przecież tylko o proces destylacji tego samego wina. Niech pan zważy, że nasz przemysł alkoholowy stoi na nader wysokim poziomie. W mojej włości po świecie miałem niejednokrotnie sposobność stwierdzić, iż polskie trunki są przez znawców na całym świecie nader wysoko cenione. Jestem też przekonany, że jeżeli dziś produkujemy takie same destylaty winne, jak francuskie — to w najbliższej przyszłości zaczniemy je udoskonalać i przewyższać! Droga takiego rozumowania doszedłem do tego, że dziś piję już tylko koniaki krajowe!

— A jakie zdaniem pana są najlepsze koniaki krajowe?

*...Byli młodzi
i bardzo
szczęśliwi*





— Najlepszy moim zdaniem jest ten, który pijemy: „Jubileuszowy” Winkelhausena! Stara pomorska firma. Dobrze robią! Prócz „Jubileuszowego” pijam jeszcze z ich koniaków „Grande Fine Arvine” — wprost świetny — „V. S. O. P.” — też doskonały! Aha! i „Medicinal” Winkelhausena, który zestawiałem z podobnymi zagranicznymi i też nie widzę różnicy. Chyba tylko... w cenie. Lekarze nasi grzeszą, kiedy zapisują zagraniczne koniaki — dziś w dobie kryzysu, kiedy głosi się hasła gospodarczej samowystarczalności. Mając w kraju pierwszorządne koniaki — polecać zagraniczne!... Czy pan wie, że dla poprawienia gatunku, dla dorównania francuskim rekordom koniakowym piwnice Winkelhausena posiadają winne destylaty jeszcze z dobrych, starych czasów przedwojennych. I to z najlepszych win: departamentu Charente z t. zw. „Grande Champagne” i „Petite Champagne” — pierwszorządne gatunki! Wino, z którego produkują „Jubileuszowy” sprowadzono do kraju okragło pięćdziesiąt lat temu. Ha! ha! Jubileusz swego pobytu na polskiej ziemi święci francuskie wino na naszym stoliku!

— Ceterum censeo — stąd wniosek prosty: uczcijmy ten jubileusz — napijmy się jeszcze

po kieliszku — roześmiał się młodszy gentleman.

Muzyka skończyła grać tango. Tańczący zaczęli wracać do swoich stolików. Roześmiani wrócili do stolika młodzi, cieszący się życiem. Ona zaczęła mu szybko coś opowiadać, słuchał jej z uśmiechem. Ktoś przechodził koło stolika, przystanął, popatrzał, ale oni go nie widzieli. Patrzyli sobie w oczy i... nagle w pełnej sali pocałowali się! Wybuchnęli radosnym śmiechem.

Późno już było — czas było wychodzić. Wstałem. Przechodząc koło stolika zakochanej pary, pożegnałem ich najserdeczniejszym, na jaki mnie było stać uśmiechem.

Na stoliku ich stała butelka „Jubileuszowego”.

W ubieralni natknąłem się jeszcze na moich dwóch gentlemanów. Starszy z nich, nakładając palto, mówił do młodszego:

— A wie pan, jaka jest jeszcze jedna ważna zaleta koniaku Winkelhausena? Oto, według określenia jednego z naszych najdowcipniejszych literatów, koniak ten, używany w miarę nie szkodzi nawet w największych ilościach.

— A nawet pomaga, uśmiechnąłem się, myśląc o szczęśliwej parze kochanków.

Wędrówka owocu

Koniec lata, sierpień, owoce. Idzie się do sadu; jabłonie stoją oblepione jabłkami: antonówki, papierówki, renety, kosztele. Ga-

łęzie uginają się pod wielokilowym ciężarem, schylają się ni-

jabłka i wiedzieć, że jest wieś, sierpień, owocobranie.

Sierpień, wrzesień, czas zbiorów. Zbiera się owoce starannie, obrywa; otrząsać ich nie można, nie wolno, żeby spadając nie potłukły się, żeby przypadkiem nie uszkodzić ani jednej gałązki. Bo jak się na gałązce



sko ku ziemi. Jabłka są soczyste, kruche, chrupiące. Wylazi się na drabinę, na gałąź, — przyjemnie jest zrywać pachnący owoc, zatapiać w nim zęby, gryźć soczyste, kruche

Wędrownka owocu

raz zrodził owoc, to będzie się na niej rozdził już co roku.

Ile też może dać jedno drzewo? Przyjdzie urodzaj: sto, sto pięćdziesiąt kilo. Jabłka się ładuje w skrzynki, troskliwie obtyka słomą, nie mogą się przecież pognieść ani poobijać. Skrzynki zabija się: do sprzedania.

Miasto dostarcza wsi pieniądze, wieś dostarcza miastu skondensowanego słońca, zakłętego w lupinki owoców. Zwożą, ładują, ekspedują. Skrzynki przechodzą z rąk do rąk, na wozach, koleją, statkiem wiślanym, z pod Siedlec, Łowicza, Płocka do Warszawy. Miljon ludzi tłucze się między murami, spogląda tęsknie ku zawieszonym gdzieś w górze wycinkom nieba pociętego drutami, marzy o wsi, sadach, owocobraniach; milion ludzi potrzebuje świeżych owoców.

Przeladowuje się je, przekłada ze skrzynki do koszy, waży, taksuje, rozwozi. Codziennie nowe transporty, bo miasto wszystko wchłania, miastu wciąż brak jest owoców; ci wszyscy, którzy nie mogli wyjechać i rwać z chylących się ku dołowi gałęzi, ci wszyscy chcą sobie powetować i w zapachu jabłek znaleźć zapach wsi, w smaku gruszek smak promieni słonecznych, łanów zboża, wiatru, kwiatów, odpoczynku.

Warszawa zasypana jest tysiącami owoców. Sprzedają je wszędzie: na targach, ulicach, w magazynach. Piętrzą się w różnobarwnych, ponętnych, pachnących piramidach. Tansze, droższe, 70 groszy, 80, złoty, dwa złote. Oczywiście trzeba się potargować. Ogląda się, wypytuje, czy nie za kwaśne, czy nie za słodkie, czy nie za cierpkie — ostatecznie kupuje się pół kilo, kilo, dwa. Na rogach ulic — nieodzowne wózki. Tu najtaniej. Wszystkim dobrze znana piosenka: „Za jedne 60 groszy!” Przechodnie przystają, oglądają — „Popatrz, takie same u Pa-



Wędrówka owocu

kulskich po złotowce". — „Tanio, ale pewno oszukują na wadze”. — „Proszę półtora kilo”

Wielki sklep, błyszcząca lustrzana tafla szkła. Za szkłem owoce, całe góry owoców. Jabłka, gruszki, śliwki, banany, winogrona, ogromny wybór gatunków, jedno piękniejsze od drugich, krągłe, nabrzmiałe sokami, powabne.

Czy można sobie wyobrazić życie bez owoców? Już starożytni Grecy nazywali jabłko pokarmem bogów, sok zaś jego nektarem, ambrozją. Zjada się je surowe, gotowane, pieczone, smażone. Ileż potraw najróżniejszych możemy otrzymać z jabłek! Zalety jego znał już Mikołaj Rey, pisząc: „Bo z jabłuszka możesz sobie kilka potraw uczynić, dobre warzone, dobre smażone, dobre pieczone, dobrze nim gęś nadziać, dobra kasza z nich przetarłszy przez durszlak, dobrze je ususzyć i w pudle na cały rok schować, nie wszystko głaby gryźć jako świnia”.

Przepadamy za owocami — mają one magiczną jakąś siłę, czar, urok. Można nie lubić ciastek, cukierków, czekolady, trudno jest nie lubić owoców. Owoce trzeba kochać. Owoce napęlniają nas radością życia, mają w sobie nie tylko słońce i witaminy, ale i pogodę, szczęście, bez troskę.

Owoce w domu to tak jak kwiaty. Wchodzi się do pokoju: jest smutny, szary, śródmiemiejski, za oknem brudne ściany studni warszawskiego podwórza. Stawiacie na stole kłosz z owocami i robi się nagle jakgdyby jasniej, jakgdyby wpadł do pokoju niespodziewanie zablakany promień słońca, jakgdybyście przypomnieli sobie, że gdzieś, kiedyś było lato, żeście siedzieli niedbale na chwiejącej się, krzywej drabinie i rwali złote renety, a tuż koło was śmiały się czyjeś czerwone usta, miażdżąc soczysty miąższ zrywanych jabłek.

M. Ch.

Zdjęcia K. Stefanskiego





„Coup

„Aniela miała cudną postawę, w noszeniu głowy cudną lekkość — włosy à l'antique...” — Teraz pisałby Słowacki o dumnej i nieskazitelnej bohaterce *Beniowskiego*: „miała fryzurę au coup de vent — najmodniejszą”.

Bo nowoczesna Aniela nie ma guwernantki, a srogiego ojca skokietowała dawno tak, że musiał kupić jej samochód. Siedzi ona przy kierownicy smukła, wytworna, w stroju szarmonizowanym z kolorem swej maszyny. Kształtną głowę osłania jej w jednej trzeciej lub piątej filigranowy berecik, trzymający się „na słowo honoru”, które, jeżeli nie wystarcza, zastąpione lub umocnione bywa woalką. Co piątek o jednej porze zatrzymuje Aniela auto przed drzwiami, przy których w witrynach wystaw pełnią ondulo-



...W dymie
papierosów,
w cikliwym
zapachu lakieru
do paznokci —
twarz poci zdaje
się nie zdradzać
niezadowolenia.

.. Uczesanie
„au coup de
vent” w trakcie
suszenia

de vent”

waną straż woskowe lalki. Na drzwiach srebrny napis: Coiffeur. Aniela wchodzi w szum, zgiełk i szcęk, przy którym hałas ulicy wydaje się zrzadka zakłóconą ciszą. Przez gwar i szum aparatów do suszenia i szczękających rurek jak sygnał samochodowy brzmi raz po raz krótkie: woda do manicure! Edek, dla pani lusterko! Janie, paltro! (woźny w zakładzie fryzjerskim w 75% nazywa się Jan).

Aniela siada przy małym stolczku panny Toli — manicurzystki. Pan Edward jeszcze jest zajęty. Kończy czesanie i przekonywa jakąś upartą blondynkę o konieczności „zdegażowania” jej zbyt gęstych włosów. Jest ich stanowczo za dużo i trzeba je wystrzyc.

W epoce, kiedy kobieta trefiła swe włosy



— Włosów jest stanowczo
za dużo: trzeba je wy-
strzyc...

Na lewo: suszyć włosy
można również za pomocą
aparatu zakończonego ro-
dzajem czepca, który
opiera się na głowie
pani

na wyjątkową, dworską uroczystość i pukle ich układać kazała naksztalt fał, wpinając w nie malutki okręciś, służący za ozdobę i widomy znak pamięci o przebywającym na morzu kochanku — włosów nigdy nie było za dużo. Im gęstsze były, tem piękniejsze. Tem więcej było możliwości upinania ich w dostojne fryzury w kształcie przeróżnych piramid. Szpilki, grzebienie, wałki, druciki i siatki decydowały o kunsztowności i wymyślności. Musiał to być trud nielada ułożenie tych włosów naksztalt fał! i jak długo to trwać musiało! Dziś — trochę więcej niż pół godziny i sliczna główka jest gotowa.

Mając poczucie barw i linii, które nowoczesny człowiek z każdym dniem wyrabia w sobie coraz bardziej, wiemy ile w całości sylwetki kobiety znaczy kształtna głowa. Do naszych sylwetek w sportowych, wydłużonych sukniach — głowa malutka. Do smukłych, wiotkich, wieczorowych, gdyby to do wolnie regulować się dało — bodaj jeszcze mniejsza. Ostatnio więc zdecydowałyśmy skasować wszelkie kłopotliwe loczki.

Kobieta nowoczesna, a w szczególności posiadaczka samochodu przyjęła współ z wyrocznią na temat fryzury kobiecej, panem Antoine, uczesanie „au coup de vent”. — *Coup de vent* znaczy uderzenie wiatru. Auto i wiatr natchnęły panią do stworzenia nowej fry-

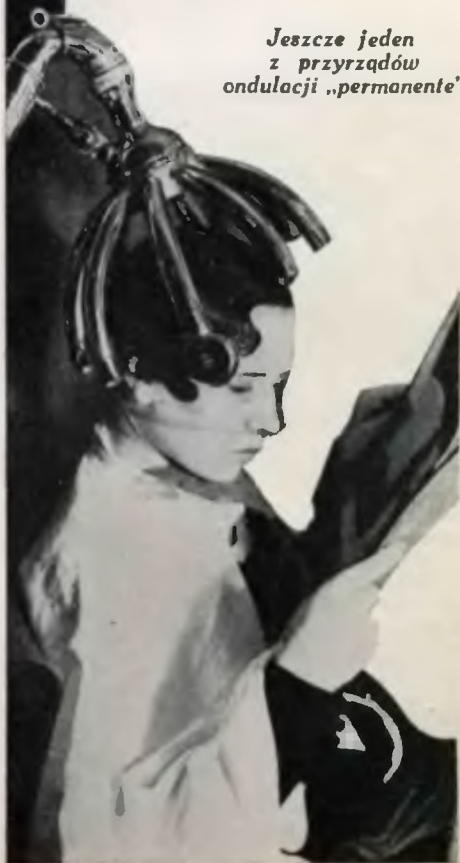


*Proces ondulacji
„permanente”
czyli wieczno-
trwalej (na... 4
roku) wygląda
jak poważny
zabieg
operacyjny*



Zanim głowa otrzyma uczesanie „au coup de vent” upłynie nieraz zgórą dwie godziny, nic dziwnego, że pani ma apetyt...

*Jeszcze jeden
z przyrządów
ondulacji „permanente”,*



zury i jej nazwy. Kobieta nowoczesna nie chce być zależna od nikogo — nawet od wiatru. Dotychczas z bujną czupryną pani wiatr poczynił sobie jak chciał. W dodatku, jeżeli jechała autem, miał prawdziwe używanie! Pakował jej faliste loki i pukle do oczu i do ust, muskał ją niemi i drażnił po całej twarzy. Nie baczył na to, że pani jest ze zbyt odgarniętymi wtył włosami niezbyt ładnie i nic nie robił sobie z tego, gdy lokiem zasłaniał jej piękne czoło.

Z nastaniem *coup de vent* — wiatr doczekał się bezrobocia. Bo włosy, strzyżone krótko, każe pani układać po obu stronach twarzy jak piórka zwiane od tyłu głowy łukami do brwi i czoła, zagięte wgórę. Żadnych dawnych „ząbków” i „niobków”: skromna i wykwintna prostota; a cieniutka woalka, obcisłająca tę z wesołych, twarzowych piórek rameczkę daje gwarancję niezależności od wszelkich kaprysów naszego klimatu.

Coup de vent jest uczesaniem ładnym dla twarzy o rysach drobnych przy sylwetce moderne, wysmukłej i szczupłej. Gdyby jednak zrobić je sobie kazała pani o potężnym karku lub solidnym podbródku... miejmy nadzieję, że fryzjer do tego nie dopuści.

Przed ondulacją żelazkową czy wodną suszenie włosów aparatem w kształcie worka

daje poniekąd tęgiej pani wyniki elektrycznej, odchudzającej szafki. Od szumu, jaki się przy tem suszeniu słyszy, powstaje rodzaj wyczerpania, a mokre włosy schną w takim upale, że krople potu operlają zaczerwienioną i obrzękniętą twarz.

Dla niektórych pań seans u fryzjera decyduje o szczęśliwym wypełnieniu jednego z „pracowitych” dni tygodnia. — Mówi się: „Dziś mam fryzjera. Od 5-ej do 7 i pół”. Długo? Wyczekiwanie swej kolejki — conajmniej pół godziny, strzyżenie, mycie głowy, układanie ondulacji wodnej, suszenie jej pod siatką, manicure, przyciemnianie brwi i rzęs... Wszystko to w dymie papierosów, w cklwym zapachu lakieru do paznokci i atmosferze babskiego paplania!

Dla pań, które nie zaliczają godzin spędzanych w salonie fryzjerskim do produkcji wyzyskanych chwil życia, oraz tych, które chcą uniknąć konieczności wydatku co kilka lub kilkanaście dni — jedynym wyjściem jest „permanente” — ondulacja trwa-

ła, wieczna, elektryczna, słowem wystarczająca na pół roku.

Każdej z pań, która jeszcze przez tę próbę wytrzymałości nie przeszła, doradza się:

1) zamówienie u fryzjera godziny rannej, kiedy ciało i nerwy mają najwięcej energii po spoczynku;

2) skonsumowanie posilnego, w zdwojonej dawce, śniadania;

3) zabranie robotki szydełkowej, względnie zabawki Yo-Yo;

4) zarezerwowanie od 3—6 godzin czasu.

Operacja napozór tylko wygląda groźnie, w istocie wcale nie jest niebezpieczna, a w wyniku — nieoceniona.

Ondulację wieczną zaleca się paniom z prowincji, ze wsi i wszystkim tym, które staroświeckimi rurkami wyczyniają sobie jakieś złołe loczki.

Choćby był najpiękniejszy kolor włosów, zaniedbana i źle uczesana głowa wyglądać będzie jak tajfun lub pióropusz.

Z. Z.

W szkole

I wszędzie, gdzie zbiera się wiele osób, istnieje niebezpieczeństwo zarażenia się przez wdychanie rozśiewanych podczas kaszlu lub kichania zarazków. Chrońcie się zatem przed gripą, zapaleniem gardła i przeziębieniem zapomocą

pastylek

Panflavin



Do nabycia we wszystkich aptekach.

ADOLF MENJOU O SOBIE

Najpierw muszę wyjaśnić sprawę mego pochodzenia, która wywołała wiele nieporozumień. — Moje nazwisko nie jest amerykańskie. Grywam zawsze role cudzoziemców. Władam francuskim i włoskim z jednakową łatwością jak angielskim. Wszakże nie jestem ani Francuzem, ani Włochem, lecz Amerykaninem. Moja matka była Irlandką, mój ojciec — Francuzem. — Wyjaśnia to pochodzenie mego nazwiska, narodowości i wąsów.



Nie warto byłoby opowiadać historii swego życia, gdyby się nie zastanowiło nad przeszłością i nie wyciągnęło z niej wniosków. — Uczyniłem to właśnie. Być może dlatego stałem się nieco cynikiem, ale nie przeszkadza mi to patrzeć na życie bezstronnie i mądrze zarazem. A oto moja pierwsza teza, która wynika z nauki mego życia:

Jeśli się jest dostatecznie silnym i inteligentnym, musi się zwyciężać w życiu; jest to pewnik niemal absolutny. Tylko idjoci i ludzie pozbawieni woli upadają. Kiedy

człowiek inteligentny popada w nędzę, wynika to zawsze z jego winy.

Miałem w swym życiu okresy ciężkie, przecież daleki byłem od beznadziejnej nędzy.

Mój ojciec pracował z powodzeniem w przemyśle hotelarskim. Oczywiście życzył sobie, żebym poszedł w jego ślady, ale



nie chciałem. Przecież pracowałem z nim przez kilka miesięcy i miałem dosyć. Porzuciłem ten zawód, wstępując na uniwersytet, gdzie zacząłem studjować fizykę, matematykę etc. Chciałem zostać inżynierem.

Oglądając mnie dzisiaj na ekranie w rolach kobieciarza, gracza i birbanta, ktośby przypuszczał, że miałem ongiś zupełnie odmienne plany. Bardzo dobrze poszła mi nauka. Po trzech latach studjów odbyłem powinność wojskową.

Godzi się podkreślić, że bynajmniej nie zamierzałem zostać aktorem. Większość aktorów lub aktorek uwielbiała we wczesnej młodości ekran lub teatr. Co do mnie, uczęszczałem do teatru bardzo rzadko.

Teraz docieram do drugiej tezy: przypadek większą w życiu odgrywa rolę, niż ambicja lub wykształcenie.

Zaledwo skończyłem służbę wojskową — mój ojciec został zrujnowany skutkiem nie-szczęśliwych spekulacji. Musiałem pracować na utrzymanie. Ponieważ znałem doskonale język francuski, znalazłem z łatwością posadę w przedsiębiorstwie okrętowym. Miałem mnóstwo roboty i byłem źle płacony. Skądinąd zaś moje wymagania były dosyć znaczne, ponieważ byłem przyzwyczajony do życia w dostatku, a oczywiście moje wynagrodzenie nie wystarczało na ten tryb życia.

Pewnego dnia spotkałem przyjaciela, który oświadczył mi, że mogę zarabiać dosyć łatwo kilkanaście dolarów na miesiąc, pracując wieczorami — po godzinach biurowych — w wytwórni filmowej w charakterze statysty. — Pomysł wydał mi się znakomity i tegoż wieczoru udałem się do biura „Vitagraphu”, gdzie rozpoczęła się moja karjera filmowa.



Niezwykły strój i nieoczekiwana rola Adolfa Menjou...

Przez rok, prawie co wieczór, nakręcałem role lokajów, żołnierzy i t. p. Płacono mi od jednego do trzech dolarów. Stopniowo zacząłem się przywiązywać do tego drugorzędnego zajęcia. Zdecydowałem się nawet porzucić biuro i poświęcić się całkowicie ekranowi. Ale w tym czasie wybuchnęła wojna.

Ponieważ znałem nietylko język francuski, lecz także i włoski, wystano mnie z oddziałem amerykańskim na front włoski, gdzie służyłem jako oficer łącznikowy między armją amerykańską a włoską.

Zachowałem bardzo niedobre wspomnienia z wojny. Prawie cały czas chorowałem, pozostał mi jeszcze niezbyt kiszek, co być może tłumaczy, dlaczego jestem nieco gorzki w swych poglądach.

Po wojnie, wróciłem do Ameryki i zacząłem znowu pracować. Był to okres, w którym zarysowała się bardzo jasno przyszłość kina. Co za tumult, co za walka ambicji, pragnień. Zacząłem od pracy reżyserskiej, ale nie trwało to długo. Czas mijał powoli, a ja wciąż stałem w miejscu. Aż któregoś dnia poznałem Charlie Chaplina. Powiedział mi on: „Zdaje mi się, że ma pan talent, postaramy się zrobić coś z pana”. I kazał mi przejść kilka prób, które dały ujemny wynik. Jednakowoż Chaplin był przekonany o słuszności swego sądu i nie dawał się prędko zniechęcić. Ja również. Dopiero po siedmiu latach pracy w studio — nadszedł sukces.

Grałem wówczas wraz z Valentinem, Douglasem Fairbanksem i Mary Pickford. Po filmie „Wielka Księżna” — sukces był niewątpliwy. Odtąd dają mi zawsze role cudzoziemców. Nie grywam prawie nigdy po-

staci amerykańskich. Jeden z wielkich dyrektorów powiedział mi: „Patrząc na pana, niktby nie uwierzył, że jest pan Amerykaninem”.

Bardzo ciekawe są niektóre upodobania publiczności. Kiedy np. spodoba jej się aktor w jakiejś charakterystycznej roli — zawsze chce go widzieć w podobnym rodzaju i wyglądzie zewnętrznym.

Charlie Chaplin jest jednym z największych aktorów na świecie, ale jestem pewny, że gdyby jutro ukazał się na ekranie bez swoich wąsów, bez melonika i laseczki, publiczność uczułaby zawód. Odnosi się to zresztą do wszystkich wybitnych aktorów. Douglas Fairbanks musi wiecznie skakać, Mary Pickford — grać role dziewczynek. Co do mnie — po zdobyciu wielkiego powodzenia — chciałem spróbować zagrać rolę człowieka statecznego. Ale publiczności nie podobala się moja nowa rola. Byłem skazany na pozostanie bogatym cudzoziemcem, który bawi się, lubi kobiety, psy i konie.

Aktor filmowy, opowiadający historię swego życia, zazwyczaj dzieli się z czytelnikiem swemi wrażeniami artystycznymi. Otóż mogę oświadczyć, iż filmem, który mi się najwięcej podobał, jest „Brzdąc” (The Kid) Chaplina. „Gorączka złota” była także filmem wspaniałym, ale to nie był już „Brzdąc”.

W chwilach wolnych od zajęć, po skończonej pracy, lubię czytać dobre książki. Pasjami lubię także grać w tenisa. Mam wreszcie jeszcze jedną namiętność: psy.

Z całego mego życia mogę wyciągnąć tę prawdę i naukę: przypadek stanowi 90%, a talent i wola tylko 10% powodzenia.

Bezsensowność wyniszcza organizm

a powstaje głównie wskutek zaburzeń układu nerwowego. Sztuczne środki nasenne działają na dłużej, a wywołują ośłupienie i zanik wrażliwości nerwów.

Tylko zioła Magistra Wolskiego „Pasiverosa” zawierają „Kwiat Męki Pańskiej” i idealnie łagodzą zaburzenia systemu nerwowego (nerwice serca, bóle głowy, histerie) oraz sprowadzają krępujący sen, identyczny ze snem naturalnym. Już po krótkim czasie stosowania cały system nerwowy powraca do stanu normalnego.

ZIOŁA ze znak ochr. „PASIVEROSA” cena zł. 4.—

do nabycia w aptekach, drogeriach, (skład. apt.) lub w wytwórni: MAGISTER WOLSKI, WARSZAWA, ŻŁOTA 14.

Objaśniające broszury wysyłamy bezpłatnie.

O różnych drapieżnikach

Loreczka była pięknym okazem papuziego rodu i to nie ulegało żadnej kwestji; — mądrym? — może, nie chcę się sprzeczać, będę jednak zawsze podawała w wątpliwość słodycz jej charakteru. Szczerze mówiąc — była nieznośna. W serdecznej, tkliwej przyjaźni żyła tylko z panem; dla niego miała gest pieszczoty, dla niego jakieś swoiste za-

klęcia, gdy czule skubiąc zakrzywionym dziobem pańskie ucho, wyrzucała z gardziółka namiętne: o-ho! Ale też miłość dla pana wypełniała bez reszty papuzie serce. Panią Loreczka zaledwie tolerowała, kucharce wypowiedziała wojnę od pierwszej chwili, co zaś dotyczy Riki-foksa, przesładowała biedną psinę z histeryczną wprost zawziętością. A Riki, pomny skutków parokrotnego rewantzu, zdawał się być bezradny wobec otwartej agresywności papugi: ptaszysko wrzeszczy i naśmiewa się, a on nic, musi udawać, że to nie o niego chodzi. Raz i drugi wytarmosił rzetelnie zielonopióry ogon, i co z tego wynikło? Dla niego srogie lanie, a dla papugi jeszcze większa bezkarność. Milczy więc Riki i tylko okiem z pod kanapy łypie... A papuga wzrasta w siłę i znaczenie. Już teraz cały dom zawojowała. Bo trzeba dodać, że Loreczka od niedawna mówić umie. Skrzeszała dotąd po swojemu cały dzień boży: ale nie tak, żeby to ludzką mowę przypominało. Aż tu pewnego dnia ze wsi lekkomyślna kuzynka przyjeżdża, po dancingach lata, fajfy urządza. Śmiechu jej i rozgwaru w każdym kącie pełno. Riki się cieszy, jak szalony po pokojach skacze, a Loreczka po-



*U góry:
pogromca
lwów,
Crockett
ze swoim
faworytem.*

*Na lewo:
Rozmowa
dwóch
szympanzów*



*...W czulej pozie z lwem
oraz Koko jako fotograf*

dawnemu nastroszona,
skrzydłami trzepocze,
dziób bojowo nasta-
wia.

Kuzynka wyjeżdża
wreszcie, a Loreczka
w ślad za nią: „A tom
się ubawiła!” wielkim
głosem woła. Odtąd
Loreczka stała się
przedmiotem ogólnego podziwu. Bo czy
deszcz, czy pogoda na dworze, czy radość
czy smutnienie w domu, Loreczka swoje:
„A tom się ubawiła!” ze sześć razy na dobę
obwieścić musi. I to wesoło, z werwą i tem-
peramentem. Jakże tu nie cenić takiej pogo-
dy ducha?

Jeden Riki nie podziela zachwyków nad
papugą, a wzrok jego nic dobrego nie wró-
ży... I oto nadszedł dawno oczekiwany dzień
zapłaty. Tak się złożyło, że w czasie nie-
obecności kucharki (na ślub własnej ciotki
pojechała) pan i pani na całonocną zabawę
wyjść z domu musieli. Bridż w poselstwie
zagranicznym — odmówić w żaden sposób
nie wypada. Idzie więc pani strojna i pach-

nąca, idzie pan elegancki, ale z brwią na-
marszczoną, bo w sercu niepokój, jak się też
Loreczka i Riki, pozostawieni bez opieki, za-
chowają?

Zachowali się okropnie, co już od progu
widac. Na kanapce pióra, na dywanie ślady
krwi i całe pęki piór. Loreczka stracona —
pod tym względem nie może być żadnych
wątpliwości, ale gdzie Riki-przestępca? Oka-
zało się, że w najciemniejszym kącie pod
łóżkiem. Skulony, drżący, z mordą krwawo
pręgowaną już samym swym wyglądem o po-
pełnionej zbrodni świadczy. Pani płacze, pan
wpada w gniew straszliwy, Riki dostaje za-
służone cięgi. Gdy tak wszyscy w zamiesz-
aniu po pokoju krążą, pani zbliża się do toa-



mują pierwsze pouczenie o życiu i swych przyszłych obowiązkach. Jest to stopień wstępny tresury, która odkąd stała się umiłowaniem zajęciem właścicieli, daje nieprawdopodobne wprost rezultaty.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej tak zwanemu pogromcy. Czyż nie jest to osobnik obdarzony nadprzyrodzoną wprost odwagą i jemu tylko właściwym fluidem, mocą którego najdziksza bestja przemienia w potulnego kociaka? Pan we fraku zmusza pomrukującego tygrysa do skoku przez papierową obręcz, pani w trykotach wtula główkę w rozwartą lwią paszczę, ufna, że pupilek nie uszkodzi jej nawet ondulacji... Czem się to dzieje? Czyż naprawdę można tak niezawodnie po-

letki. Nerwową ręką poruszone lustro płoszy cień za nim ukryty. I oto z przeraźliwym wrzaskiem: „A tom się ubawiła!” wylatuje do ostatniego pierza oskubane dziwo, — ongiś barwnopióra Loreczka...

Szczeryj mój podziw budziła zawsze umiejętność pogodzenia rozbieżności charakterów i instynktów u różnych zwierząt. Jak można skłonić do zgodnego współżycia np. drapieżniki? A jednak widziałam zdumiewające przykłady „koedukacji” w zwierzyńcu Hagenbeck’a na przedmieściu Hamburga. Jest tam takie „przedszkole”, gdzie małe lwiatka, tygryski, lamparty, hieny i niedźwiadki w zgodnej a przyjacielskiej gromadzie, otrzy-

Znakomita akrobatka rodu fokowego

legać na rzekomej łagodności zwierzęcia i jego wyszkoleniu?

Paryż ma świeżo jeszcze w pamięci na tem właśnie tle rozegraną tragedję. Występował tam w cyrku pewien pogromca, imieniem Crockett z ustaloną już sławą „króla lwów”. Otóż znalazł się niefortunny dziennikarz, który publicznie zakwestjonował odwagę pogromcy. Lwy? jakie lwy? To owieczki — nie lwy. Oblaskawione, dziecku krzywdy nie uczynią. Za 2.000 franków może bez wahania wejść do klatki i zabawić się z temi zwierzątkami. — Następnego już dnia otrzy-

*Poranna toaleta słoni*

mał list od Crockett'a. „Pan był łaskaw nazwać moje lwy owieczkami. Otoż mam honor donieść panu, że właśnie złożyłem u reagenta nie 2.000, lecz dwadzieścia tysięcy franków, które zechce pan zainkasować, o ile pan jako żywy człowiek opuści klatkę z moimi wychowankami. W razie, jeżeli pan będzie nieboszczykiem, suma ta przejdzie na jego spadkobierców”. Nieostrożny dziennikarz dał się skusić okrągłością sumki, wszedł rzeczywiście do klatki, ale krótką zabawę miał ze zwierzątkami, bo w następnej już chwili został przez „owieczki” skonsumowany.

A początek historii Crockett'a jest taki. Ojciec jego, z pochodzenia Anglik, należał do zespołu orkiestry cyrkowej w Liverpoolu,

matka też tam na czemś przygrywała. Młodociany synek nie miał jeszcze określonego przydziału, to też w braku innego zajęcia kochał się nazabój. Ideałem jego była



*Bimbo kosi
grzecznie
trawę*





*Zaaranżowany dla filmu
pojedynek pogromcy z lwem*

zgrabna woltyżerka, miss Ada Hamilton. Płowowłose bóstwo, obdarzone widać z natury zmysłem praktycznym, wołało starszych i co zamożniejszych wielbicieli, to też na ustach różnanych więcej drwin, niż uśmiechów pod adresem chłopca zakwitało. Tymczasem nadeszła wiosna, a wraz z nią ogólne szaleństwo miłosne, jako nieuniknione prawo natury. I otóż pewnego popołudnia ryk piekielny wstrząsnął cyrkiem, wywołując dziki popłoch wzdłuż całej ulicy. To pięciu płowych synów pustyni walczyło na śmierć i życie o względy młodej lwicy. Cały zespół, skamieniały ze zgrozy i przerażenia, patrzył na te krwawe zapasy, podczas gdy lwica w najdalszym kącie klatki najspokojniej oczekiwała rezultatu i zwycięzcy. Miss Hamilton z zainteresowaniem śledziła niezwykle widowisko. Miłość... walka... nagroda... Czemu to o nią nikt nie walczy, dla jej miłości nie ryzykuje życia? Tu wzrok jej padł na pobladłego Crockett'a. „Czy nie chciałby mi pan zrobić przyjemności — rzekła z czarującym uśmiechem — i rozdzielić te głupie bestje? — „Pani, ależ to drobnostka...” — odparł młody człowiek i jednym skokiem znalazł się w klatce. W po-

spiechu zdołał chwycić tylko pejcz i przygotowany do pantomimy rewolwer ze ślepe-
mi nabojami. To jednak wystarczyło. Ogłuszone wystrzałami, zmaltretowane uderzenia-
mi bicia zwierzęta, zaprzestały walki i jak oszalałe miotaty się wzdłuż i wszerz klatki. Wreszcie z bólu i strachu otepiałe, do ziemi przypadły. Crockett triumfator znalazł się w ramionach kolegów, a ci go jak bohatera witali. Miss Hamilton białe wyciągnęła dłoń, by wielbiciela swego do falującego przycisnąć łona. Wszak on to dla niej ważył się na czyn szalony! Ale Crockett pozostał nieczuły. Niespodziewany triumf rozpałił pragnienie sławy w jego sercu, z którego miłość uleciała. „Pani, nie jestem godzien...” — rzekł i połamany pejcz pod nogi rzucił tej, co tak mało jego życie ceniła. — Zupełnie, jak w balladzie Schillera. Odtąd Crockett znalazł właściwą drogę i wkrótce zastąpił, jako najdzielniejszy pogromca dzikich zwierząt. Najchętniej pracuje ze lwami, twierdząc, że może nie są inteligentniejsze ani bardziej od kobiet łagodne, natomiast znacznie od nich więcej posiadają taktu.

Halina Nowaczyńska



Takie to beznadziejnie szare



Int. Rouen

Z wieży kościoła



WIDMO GILOTYNY

Przed paru miesiącami zmarł słynny kat paryski, Deibler. Niema chyba innego europejczyka, któryby był świadkiem śmierci tylu ludzi i nikt zapewne nie słyszał tylu „ostatnich słów”, co ten mistrz gilotyny.

Dużoby miała do opowiedzenia owa wdowa, *la veuve*, jak lud paryski nazywa gilotynę, gdyby umiała mówić. Prawie żaden z traconych, na których spada pocałunek strasznej wdowy, nie milczy przy tej ceremonji. Każdy z nich na swój sposób pragnie znaleźć ulgę w wypowiedzeniu kilku słów.

Zgrozą przejmujące sceny odbywają się w jak największym pośpiechu. Zarzucono zwyczaj odczytywania głośno przed egzekucją wyroku śmierci i teraz tylko kapelan więzienny udziela ofiarom ostatnich słów pociechy. Skazani korzystają z tego, by zyskać kilka drogocennych minut... Minuty w takich chwilach trwają długo jak wieczność. Zwykle skazani pozwalają uściskać się duchownemu i dają mu ostatnie zlecenia dla swoich najbliższych. Jednak cierpliwość paryskiego kata Deiblera nie mogła być zbyt długo wystawiana na próbę. Wystarczyło skinienie w stronę pomocników, a rzucali się oni na delikwenta i w kilka sekund później kończyło się jeszcze jedno życie ludzkie.

Deibler ustanowił swego rodzaju rekord: od chwili, gdy skazanego sprowadzają z wózka więziennego aż do głuchego ude-

zenia, które oddziela głowę od tułowia, upływało 80 sekund. Rekord ten jednak daje się utrzymać tylko wtedy, gdy skazany nie ma ochoty do wygłaszania przedśmiertnej mowy. Większość wszakże pragnie coś powiedzieć. Często słowa im więzną w krtani i nic w tem niema dziwnego. Największą odwagę okazują zwykle anarchisci, idący na śmierć pełni nienawisici do ludzkiej gromady i pozdrawiający gilotynę okrzykiem „Vive l'anarchie!” Tak było w wypadku Emila Henry i Vaillanta, sprawców zamachu w Izbie francuskiej. Wzorem dla wszystkich anarchistów stał się ponury Ravachel. W noc przed egzekucją zauważył przez okienko celi, jak montowano na podwórze gilotynę. Zaczął wówczas śpiewać przez siebie samego skomponowaną piosenkę i nie zwrócił najmniejszej uwagi, gdy mu zaczęto „robić tualetę”, to znaczy gdy odcięto mu kołnierz koszuli, ogolono tył głowy i skrzepowano.

„Zupełnie inaczej zachowywał się David, również anarchista, który zamordował dwie stare kobiety. Morderstwo przyniosło mu trzy franki! W więzieniu nawrócił się, a gdy dowiedział się, że go nie ulaskawia, przygotował sobie małe przemówienie. Deibler obiecał mu, że będzie mógł mówić swą wygłosic do końca i tak też się stało. David zwrócił się do widzów i powiedział dosłownie: „Oznajmiam wam, że nawróciłem się i że mnie ani stracenie ani śmierć nie przerażają. Radzę wszystkim młodym ludziom unikać złego towarzystwa, a przedewszystkiem szynkował. Jezus przebaczył złodziejowi i mordercy... przebacząc im, przebaczył także i mnie. A teraz, dalej!... Niech żyje Francja!”

Wielu kandydatów zachowuje się w ostatnich chwilach z niezwykłą wprost uprzejmością. I tak morderca kobiet Billon, powiedziawszy do kapłana: „Żegnaj, wielbny ojczel!”, zwrócił się do widzów, uklonił się z wyszukaną grzecznością i rzekł tonem światowca: „Adieu, Messieurs!” Morderca Savary, którego tracono w Montreuil, prosił Deiblera, aby go uściaskał. Deibler zimno odmówił, na co Savary bardzo zmartwiony powiedział: „Czyż jestem psem?... Później będziesz tego żałował!”

Dolną granicą wieku dla stracenia jest we Francji 16 lat! W Wersalu stracono pew-

nego razu trzech młodych ludzi, z których Jean Tapage miał lat 20, Ribot 17 i Voda-blo 19. Tapage krzyknął: „Chciałbym, żeby mój los był ostrzeżeniem dla wszystkich młodych ludzi!” Ribot pocałował jednego z pomocników i rzekł: „Dla mojej mamy!”...

Morderca seksualny Moreux w Lisieux żądał od Deiblera, aby ten wypróbował pierw funkcjonowanie gilotyny, żeby się nie zatrzymała w połowie drogi. Deibler zawahał się na chwilę. Prokurator, również zmieszany, dał mu znak przyzwolenia i Deibler istotnie pozwolił opaść nożowi gilotyny, poczem Moreux powiedział: „Nigdy się przecie nie wie, czy wszystko sprawnie działa, prawda? Teraz już jestem spokojny... Tylko prędko!”

Bardzo wielu skazanych do ostatniej chwili zapewnia o swojej niewinności. Tak więc aptekarz Moreau, którego stracono w Saint-Denis w 1874 roku za otrucie, monotonnym głosem powtarzał: „Jestem niewinny, jestem niewinny!” W dwa lata później okazało się, że był on istotnie niewinny: trucicielem był jego pomocnik. Gdy sławnego Landru prowadzono na gilotynę, z pełnej jego brody dobywało się bezustanne mruczenie: „Niewinny! Niewinny! Niewinny!”

Pewien grabarz nazwiskiem Contudier, żartowniś i figlarz jak większość ludzi tego zawodu, został kiedyś doprowadzony przez swą żonę do takiej wściekłości, że chwyciwszy pogrzebacz zaczął grozić Ksantypie. Ta jednakowoż nie ustąpiła, lecz chcąc go podrażnić, krzyczała: „Jesteś tchórz, ty łabanie! Załóż się, że nie uderzysz!” Contudier uderzył i został skazany na śmierć, co stało się powodem wielkich demonstracji. Wszyscy byli przekonani, że prezydent Grévy go uniewinni, lecz wyrok śmierci został zatwierdzony, pomimo prosby o ulaskawienie z czterema tysiącami podpisów. Gdy Contudier zobaczył gilotynę, powiedział poprostu: „To jest istotnie przykra historia”.

Wyjątkowym cynikiem okazał się siedemdziesięcioletni starzec, ojciec Dumeiseau, burmistrz z Rouilly. Zabił on swego zięcia za pijaństwo. Przed egzekucją krzyknął z objawami najwyższej wesołości: „To jest najszczęśliwszy dzień mego życia! Musiałem żyć 73 lata na to, by pojąć, że gilotyna jest najpiękniejszą zabawką na świecie!”

Wielu straceńców jest filozofami, jak np. doktor La Pommerais, który otrul bogatą panią de Pau. Prowadzony na śmierć podniósł oczy ku górze. Niebo było czyste, bez chmur, zaróżowione na wschodzie: „Szkoda, — powiedział, — dzień zapowiada się tak pięknie!”

Bratobójca Goubat był rozzłoszczony na Deiblera za огоlenie mu tyłu głowy. Nie mógł się uspokoić nawet stojąc u stóp gilotyny i wciąż jeszcze narzekał: „Jestes nie-nasycony, Deibler. Poco ci moje włosy, jeśli tak pozostawiam całą głowę?!”

Gdy murzyn Rosaire stał pod gilotyną po zabiciu w Marsylii dwóch algierczyków, w ostatniej jeszcze chwili rzekł: „Raz tylko się umiera!”

Celnik Meunier zamordował cztery osoby, a między niemi własnego syna. Gdy mu Deibler obciął kołnierz od koszuli, zauważył: „Jaka szkoda... zupełnie nowa koszula!”

Lotaryńczyk Leclec, którego gilotynowano za morderstwo i rozbój uliczny w Saint-Michel, odtrącił szklankę z rumem, którą

mu dawano przed opuszczeniem celi: „Nie potrzebuję się upijać na to, by śmierci móc popatrzeć w oczy!”

Policjant Prevost, będący do chwili zamordowania żony i sąsiadki wzorowym urzędnikiem, gdy zobaczył przy gilotynie dawnych swych przełożonych w uniformach, zmieszał się, wyprężył i wyjąkał: „Proszę o przebaczenie!”

Zakończmy podaniem osobliwego okrzyku rzeźnika Avinain, oskarżonego o zamordowanie swego pomocnika. Wyrok opierał się na dość niepewnych poszlakach, a Avinain nie przyznawał się do ostatniej chwili. Nakoniec posłużono się oburzającym podstępem: obiecano mu ulaskawienie, gdy się przyzna do winy. Avinain zaniechał wypierania się, a gdy go pomimo to skazano, przed gilotyną krzyknął z wściekłością: „Dzieci Francji! Nie przyznawajcie się nigdy!” — Okrzyk ten stał się znany i figuruje w rocznikach francuskiej kryminalistyki.

El. M.

Fakt,

że Aspirina od 30 lat cieszy się bezprzykładnem powodzeniem, dowodzi najlepiej wartości i nieszkodliwości tego środka.

Wobec mnóstwa naśladownictw, zjawiających się ciągle jeszcze na rynku, przytoczony powyżej fakt skłania do żądania oryginalnych tabletek Aspiryny ze znakiem BAYER, w opakowaniach z czerwoną banderolą.

Aspirina istnieje tylko jedna! Do nabycia w aptekach.

NARTY, ŁYŻWY, OBUWIE

i UBRANIE DO SPORTÓW ZIMOWYCH

W NAJWIĘKSZYM WYBORZE POLECA

C. GRABOWSKI

SZPITALNA 7, TEL. 246.47





Fiord Geiranger

W KRAJU WIKINGÓW



Typy ludowe z połudn. prowincji Telemarken

Jeszcze nie tak dawno Norwegia była dla nas znaną raczej ze słyszenia. Dzisiaj, dzięki wygodnej komunikacji, łączącej Gdynię z wszystkimi portami krajów północy, dzięki tanim wycieczkom i wogóle wszelkim udogodnieniom turystycznym, Norwegia stała się nam bliska.

Cóż za przepiękne krajobrazy! Co za niewystłowiony czar tej skalistej ziemi o niezwykle bogatej rzeźbie terenu.

Wznoszą się tu surowe szczyty gór, pokryte wiecznym śniegiem, przypominające Alpy szwajcarskie, to znów wywołujące wspomnienie Karpat.

Słynne, tylekroć opisywane fiordy, jak np. Heiranger lub Geiranger, jeden piękniejszy od drugiego, kojarzą się w naszym umyśle z analogicznymi pejzażami: bawarskiego Koenigsee, naszego Morskiego Oka lub Szczyrbskiego Jeziora w Czechosłowacji.

Na północy widzimy olbrzymie skały, na których gnieźdzą się całe kolonie drapież-



Pochód młodziży akademickiej w Oslo



Piękny krajobraz w północnej Norwegii

nych ptaków, tworząc istne eldorado dla miłośników natury i myśliwych.

Na zachodzie piętrzą się i wiją fantastyczne krajobrazy: fiordy, wodospady, góry i doliny. Taki Bergen przypomina okolice Nicei, a nieco wyżej, miasteczko Molde, dzięki swemu łagodnemu klimatowi (ciepłe prądy Golfstreamu), może otrzymać miano „Mentony Północy”... Tu kwitną róże i dojrzewają winogrona.

Bardzo zajmujący i różnorodny jest folklor norweski. W każdej prowincji inny posiada on charakter.

Ludność jest uprzejma, kulturalna, usposobiona życzliwie dla cudzoziemców. Jeśli do tego sympatycznego nastroju, jaki otacza nas w Norwegji — dodamy sprawne urządzenia techniczne, a więc wygodne koleje,

dobre szosy, skromne ale wygodne hotele, smaczną kuchnię i stosunkowo niewysokie ceny, uznamy za rzecz naturalną, że i Norwegja ostatnio przyciąga do siebie turystów z całego świata.

W tym roku, oprócz znacznej liczby turystów z Polski, Niemiec, Anglii, Francji, można było spotkać także turystów z Egiptu i Indyi.

Stolica Norwegji wywiera jakies osobliwe, fascynujące wrażenie na przyjeźdźnym. W okolicach Oslo, w odległości godziny lub dwóch jazdy od miasta, łączą się fiordy, lasy, wodospady i góry; turysta czuje się tu jakby na innej planecie, zdala od kontynentu, od wrzasku, zgiełku i zgrzytu wielkich zbiorowisk światowych. Może on do- wolnie grzać się na skałach całymi dniami,

pływać, polować, wędrować, łowić ryby, wypoczywając w zdrowotnej, krzepiącej atmosferze.

Dworzec stolicy jest bardzo skromny; pałac królewski, teatr Narodowy, parlament, uniwersytet — również; natomiast inne gmachy, jak: poczta, telegraf, telefony, biblioteka uniwersytecka, domy dla starców, szkoły powszechne, łaźnie i t. p. — są wspaniałe. Świadczy to o zamiłowaniu narodu do nowoczesnego komfortu.

Ruch — głównie w centrum, na ulicy Karl Johans, prowadzącej wprost od dworca do pałacu królewskiego — jest olbrzymi, niczem w londyńskiej Piccadilly.

Oslo jest wielkiem miastem portowym i handlowym, centrum przemysłowym, politycznym, administracyjnym, kulturalnym i sportowym; jest również miastem tranzytowym pomiędzy Anglią, Ameryką i Szwecją oraz Danją i całym kontynentem.

Miasto wciąż się roz-



Wodospad zwany „Wodospadem siedmiu siostr”

budowuje, upiększa i modernizuje w tempie iście amerykańskim.

Norwegowie lubią dobrze i smacznie zjeść, wypić i zabawić się. To też na każdym kroku spotyka się licznie uczęszczane restauracje, kawiarnie, winiarnie i wszelkie inne jadłodajnie.

Chociaż w Norwegii istnieje monopol spirytusowy, sprzedaż jest zupełnie wolna i ludność, dzięki warunkom klimatycznym północy — chętnie wchłania wszelkie dobrodziejstwa płynne, płynące z bogatych piwnic Niemiec, Francji, Hiszpanji i Portugalji... Specjalnem także zamiłowaniem cieszy się trunk szkocki — whisky.

Wiele uroku dodaje stolicy młodzież uniwersytecka, radosna i beztroska. Studentów w Oslo jest przeszło 12.000. W swoich różnokolorowych czapczkach korporacyjnych (akademiczki zaś w białych paltach lub sukienkach oraz czerwonych czapczkach), z trzcino-
wymi laseczkami w ręku, ożywiają ulice miasta, zachowując się na głównej arterji stolicy, jak u siebie w domu, ale zachowanie ich jest tak sympatyczne, proste, pełne zapału młodzieńczego, że władze i starsi z uśmiechem i pobyłaniem patrzą na ich wesołe pochody, okrzyki i śpiewy.

Szczególnie huczny jest dzień 17-ty maja,



Wspaniałe zakręty fiordu Heiranger

dzień absolwentów szkół średnich. Tworzą się wtedy wielkie pochody z muzyką i śpiewami i dzień ten jest już rzeczywiście piękną i imponującą manifestacją narodową...

Podczas tych dni Oslo przypomina wesołą, słoneczną Genuę lub stary, uroczysty Heidelberg.

M. Berlacki

NIUCH TABAKI



Niektórzy historycy, powołując się na Herodota, który wspomina, że Scytowie odurzali się dymem jakiegoś ziele, dowodzą, że tytoń był już znany w starożytności. Oficjalnie jednak uchodzi za dowiedzione, że tytoń rozpowszechnił się w Europie od czasu odkrycia Ameryki. Na wschodzie znany był już dawniej. Polska, Rosja i Węgry przejęły go od Turków.

Początkowo dawano mu różne nazwy, zanim ustaliła się powszechnie hiszpańska nazwa *tabac*, pochodząca od nazwy wyspy *Tabago* z archipelagu Małych Antyli. Łacińska zaś nazwa rośliny, *nicotiana*, wywodzi się od nazwiska posła francuskiego w Portugalję, *Nicot*, który pierwszy założył w 1560 r. plantację tytoniu. Podobno potomkowie jego dotąd mają w herbie miarę tytoniu. Wyras „tytoń” natomiast jest pochodzenia tureckiego.

W Polsce dochował się zielnik żony Stefana Batorego, królowej *Anny* i zaszuszony w nim liść *nicotiany*, nadesłany królowej przez posła polskiego w Stambule, *Uchańskiego*, jest protoplastą wszystkich fajek, cygar i papierosów, jakie u nas wypalono, oraz

wszystkich szczypt, niuchów, sznupek i kapek tabaki, jakich zażyto — tak bowiem w dawnej polszczyźnie nazywały się jednorazowe dawki tabaki.

Oba zwyczaje — palenia tytoniu i zażywania tabaki — rozpowszechniają się mniej więcej jednocześnie, choć w różnych epokach jeden nałóg brał górę nad drugim.

Wiek XVIII. był stuleciem przejściowego triumfu tabaki nad tytoniem. Najwykwintniejsze sfery towarzyskie raczą się nią i nawet królowa *Marja Antonina* chętnie sięga ubrylantowanymi paluszkami do złotej tabakiery. Początkowo noszono przy sobie kieszonkowe młynki do mielenia tabaki i używano ich nawet w kościele, co skłoniło papieża *Urbana VIII.* do ostrego wystąpienia przeciw zażywającym tabakę w świątyniach, a królowę angielską *Elżbietę* do upoważnienia służby kościelnej, aby konfiskowała na własną korzyść owe młynki, a nawet kosztowne tabakiery, skoro ktoś w kościele ośmielił się do nich zaglądnąć.

Wiele prześladowań wycierpieć musiała tabaka, nim zawiadnęła przodującymi nosami świata.



Dobry papieros pali się powoli

Szach perski kazał obcinać nosy amatorom tabaki. Carowie moskiewscy równie okrutnie karali jej używanie, a Jakób I. król angielski, napisał cały traktat przeciw tytoniowi i tabace. Z tego powodu doszło nawet do zatargu politycznego między Anglią a Polską. Jezuici nie nosili zbyt głęboko w sercu tego monarchy, jako prześladowcy katolików, i dlatego jezuita Sawicki, nawiązując do książki królewskiej, wystąpił z dziełem przeciw autorowi. Król poczuł się dotknięty i zażądał od Zygmunta III spalenia tego pamfletu. Uzyskał tyle, że istotnie w Krakowie spalono jeden egzemplarz, co Jakób uznał za wystarczającą satysfakcję.

Mimo papieskich i królewskich dąsów tabaka zwyciężyła na całej linii i bodajże słuszny był pogląd pewnego pisarza niemieckiego, że tabaka jest w historii świata obiektem równie ważnym, jak dzieje Tamerlana.

Napoleon, który lubił tabakę, spróbował fajki raz jeden, otrzymawszy kosztowny cybuch w upominku od szacha perskiego, ale zaksztusił się dymem i powrócił do tabaki. Opowiadają, że cesarz zainteresował się kiedyś bogatemi klejnotami pewnej damy, a dowiedziawszy się, że jest żoną fabrykanta tabaki, uznał, że zbyt dobrze zarabiają tabacznicy i wprowadził napowrót monopol tytoniowy, zniesiony podczas rewolucji.

Literatura o tabace jest olbrzymia.

Poeta francuski, Corneille, wyznaje żartobliwie, że cokolwiek o tem sądzi Arystoteles

i jego doktryna — tabaka jest rzeczą boską. Popularną we Francji jest piosenka „J'ai du bon tabac dans ma tabatière, j'ai du bon tabac — tu n'en auras pas”. Pewien poeta twierdził z przesadą, że tabaka jest równie niezbędna do życia, jak miłość.

W Polsce już w 1620 r. ks. Birkowski wystąpił z kazaniem przeciw tytoniowi i tabace, a w r. 1650 r. anonimowy autor wydał „Naukę jako o dobrym także o złym używaniu proszku tabakowego, przytem żart piękny o tabace dymnej”. Uskarża się tam, że „naród polski zakochał się w tej nieszczęsnej tabace, że już nie masz ani chłopka, ani fliśsa, ani żebraka, któryby pudełka tabaki, choć mu na chlebie szkodzi, nie miał”.

W tym samym czasie w ogrodzie królewskim w Warszawie podziwiano „słynne ziele, zwane tabaką”, a Władysław IV. obłożył tabakę podatkiem, by zdobyć środki na wojnę i budowę floty. W muzeum Lubomirskich we Lwowie jest tabakierka z portretem Jana Kazimierza i napisem, że jest pamiątką od niego z r. 1671. W XVII. w. już nawet polskie damy zażywają tabaki, bo „zbytnie wyciąga z głowy wilgotności”, a za Sasów pewna Włoszka z Syrakuzy wyrabiała słynną tabakę perfumowaną. OO. Paulini w Częstochowie cieszyli się w tym względzie również zasłużoną sławą.

Na zachodzie przemysł tabakierek był bardzo rozwinięty. Niektóre okazy były arcy-



Palenie tandetnego tytoniu a w szczególności t. zw. szwarcówek jest szkodliwe dla zdrowia



Piękna pani chętnie otacza się błękitnym dymkiem z papierosa

dzielami sztuki jubilerskiej o pięknych kształtach misternych szkatulek, owoców lub jarzyn. W Polsce używano do tabaki rożków z wołowych rogów lub łosich racic, inkrustowanych złotem. Stąd przysłowie: „ciemny, jak tabaka w rogu”. Pospolitsze tabakierki wyrabiano z drzewa bukszpanowego, palmowego lub oliwkowego. W XVIII w. panowała moda własnoręcznego wyrabiania tabakierek.

Palenie tytoniu początkowo było również srodze przesławiane. Urban VIII. rzucił na palaczy ekskomunikę, a w 1692 r. żywcem zamurowano pięciu mnichów włoskich, którzy podczas nabożeństwa zapalili fajeczkę przy drzwiach kościoła. W Anglii powieszono Rawlegha, który rzekomo wprowadził do kraju zwyczaj fajki. W Rosji, odkąd nieostrożny palacz spowodował pożar Moskwy, karano palenie chłostą, a recydywistów zsyłano na Sybir. Sekciarze prawosławni dotąd uważają palenie za grzech. Według mongolskiego zas podania szatańskie ziele tytoniu wyrosło po raz pierwszy na miejscu, gdzie

brat z siostrą dopuścili się zbrodni kazirodztwa. Zupełna wolność palenia na świeżem powietrzu nastąpiła dopiero po rewolucji 1848 r., która między innymi wysunęła też hasło swobody palenia. Ale palenie miało i swoich obrońców, a francuskie przysłowie daje tytoniowi tytuł przyjaciela mężczyzny — gdyż jest jego ucieczką od kobiety. Pierwszą formą palenia jest oczywiście fajka, wzorowana jakoby na trzcinowych rurkach używanych przez Indian. Prymityw ten udoskonalili Anglicy, a Francuzi już w XVII w. zaczęli racje tytoniu do fajki dawać armji. Później nastąpił krótki zmierzch fajki — i jej renesans od wyprawy Napoleona do Egiptu.

Wspaniałą kolekcję fajek miał marszałek Oudinot, między innymi okaz wartości 30.000 florenów, otrzymany w darze od cesarza. General Lassale szedł do ataku z fajką w zębach, a generał Moreau, gdy mu bez uspienia amputowano nogę, podczas tego cmił lulkę. Król pruski Fryderyk Wilhelm I. urządził w Potsdamie t. zw. „tabaks-collegia”, tj. zebrania towarzyskie, na których spędza-



no czas przy kuflu i fajce na bezetykielnej kawalerskiej gawędzie.

Najkosztowniejsze fajki wyrabiano z morskiej pianki, czyli substancji, w której skład wchodzi piana, pojawiająca się przy warzeniu cieczy, używanej do robienia szkła. Czasem zastąpiono ją sproszkowanymi skorupami jaj. Fajka z pianki nabierała wartości dopiero po opaleniu jej, co było specjalną sztuką, zwaną we Francji *le cullotage*. Krótkie, gliniane fajeczki, piekące w wargi, zwano „brule gueule”. Z wyrobu porcelanowych fajek słynęły Niemcy, drewniane zaś najlepsze są z korzenia wrzesu.

Zaciąganie się dymem z fajki nazywało się w starej polszczyźnie „pić tabakę”. Lubił fajkę i król Jan III, który po odsieczy Wiednia ofiarował swoją faję hr. Starckenbergowi, a fajka ta, przechodząc z rąk do rąk, dotrwała i do naszych czasów i jako własność ks. Reggio była w 1900 r. na wystawie paryskiej. Nie gardził fajeczką i ks. Józef pod Raszynem, gdy osobiście prowadząc atak na bagnety, trzymał lulkę w zębach.

Modne były u nas fajki na długich cybu-



Krotka, zgrabna fajeczka bywa wcale „twarzowa”



chach z wisniowego drzewa z bursztynowym ustnikiem. O palaczach takich fajek mawiano, że „trąbią na fajach”. Stały zwykle natkane w specjalnym stoliku z sandałowego drzewa, zwanym cybucharnią.

Mniej więcej w tym samym czasie rozpowszechniły się też w Europie i papierosy. Niektórzy utrzymują nawet, że obchodzimy w roku bieżącym ich stulecie. Są jednak dane, że papierosy już w końcu XVIII w. przedostały się z Brazylii do Hiszpanji, a pierwszym Europejczykiem nie Hiszpanem, który je palił, był słynny awanturnik Casanova. Przez pewien czas miały one kształt i rozmiar cygara i opatrzone były drewnianym ustnikiem. W Austrii modne były t. zw. Doppelzigarette, czyli podwójne papierosy, bardzo długie, zakończone z obu stron ustnikami. Taki papieros przecinało się pośrodku i otrzymywało dwa papierosy.

Po wojnie armja palaczy wzrosła o miljon palących kobiet. W Stanach Zjednoczo-

nych sprzedaje się rocznie koło 120 miliardów sztuk papierosów, a w Polsce koło 10 miliardów. Wogóle zaś na palenie tytoniu Polska wydała w 1928 r. 647 milionów złotych.

Niektórzy palacze twierdzą, że papieros ma własności profilaktyczne, dezynfekujące gardło z bakteryj. Jednakowoż godzi się polecać palenie jak najlepszych papierosów, w każdym zaś razie unikanie złego tytoniu, przedewszystkiem t. zw. szwarcówek, które są wręcz szkodliwe dla zdrowia.

Ktoby się gorszył, że tak olbrzymi kapitał puszczaemy z dymem, temu przypomnimy pewną anegdotkę.

W Nowym Jorku pod drapaczem chmur stał jegomość i ćmił papierosa. Podszedł do niego moralista i dowodził, że za pieniądze, jakie w życiu wydał już na tytoń, mógłby być z łatwością kupić domek z ogródkiem.

Palacz spokojnie wysłuchał tych morałów i zapytał:

— A gdzie jest pański domek z ogródkiem?

— Niestety, jeszcze go nie mam! — przyznał wróg papierosów.

— A ten drapacz, pod którym stoimy, jest właśnie moją własnością! — z uśmiechem odparł palacz.

Stanisław Czosnowski

Fot. Dorys



TLENOL-RA

Radjoaktywny krem, eliksir, proszek do czyszczenia zębów i pielęgnowania ust w/g D-ra

Med. Napoleona Cybulskiego prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nadaje zębom zdrowie i olśniewającą biel — działom odporność i jędrny wygląd.

DOBRE FARBOWANIE SIWYCH WŁOSÓW

może być tylko bez przyciemnia-
nia naturalnego koloru. Własny
niezrównany system posiadają

SALONY FRYZJERSKIE

WIKTOR PIASECKI i S-ka

Warszawa, Nowy Świat 28. Tel. 223-23.

WIECZNA ONDULACJA aparatami świat. sławy „Eugène” i „Realistic.”



Miasto nie zna ciszy

Jest jeszcze dokładnie i nieustępliwie ciemno. Noc leży nad miastem całym swym ciężarem.

Może druga, może trzecia nad ranem.

Przez wszystkie okna, przez wszystkie pokoje, mniej lub więcej stłumiony wwierca się do uszu dudniący, łaskoczący hałas.

Jadą z podmiejskich wiosek ładowne wozy z jarzynami. Korowód pożywienia dla wielkiej stolicy.

Zsunąłeś kóldrę na same uszy. Przycichło.

Pod powiekami szumiące kenjony w Colorado, fantastyczne gonitwy, najcudniejsze kobiety. Kłopoty i radości, cały zaczarowany świat snu.

Szum wzbiera coraz bardziej. Niepokoi. W gwałtownie otwarte źródnice uderza szary, wymięty świt. Szum teraz słyszeć zupełnie wyraźnie.

Polewaczki miejskie. Ranna toaleta ulic. Na zegarku jest jeszcze bardzo wczesna godzina.

Spać, za każdą cenę spać. Powieki same spadają, ale sen — nie przychodzi. Płoszy go co chwila jakiś dźwięk.

Łaskot kopyt końskich. Pewnie dorożka. Po całonocnym czekaniu na gościa, wraca do domu.

Gwałtowny pisk trąbki samochodowej. Taksówką wraca jakieś pijane towarzystwo z nocnej hulanki. „Wszystkie rybki śpią w jeziorze...”

Huk otwieranej bramy. Ciężkie dudniące kroki dozorczy. Miotła su-
nie leniwie po asfalcie studni-podwórza.

Przysnąłeś.

Znów przed oczyma przebiegł jakiś strzęp nocnych majaków. Jakas
nadmwyczajna historia. Alarm. Pożar, koniec świata...

To tylko budzik.

A tak się nie chce wstawać, tak dobrze byłoby chociaż pół godziny
jeszcze...

Nic z tego. Za oknami miasto pulsuje coraz szybciej. Dzwonią nie-
cierpliwe, gderliwe tramwaje, rozgłosnie porykują autobusy, sygnały
taksówek i wreszcie rozgłosny, przez dzień cały nie kończący się marsz
ludzi miasta. Piekielny trzask podnoszonych żaluzji przy wystawach
sklepowych.

Ktoś śpiewa dyszkantem, ktoś klnie basem, długo i soczyście.
Z figlaskami. Gdzieś tam, z daleka tuła się gwizd syreny fabrycznej, czy
odjeżdżającej w daleką podróż lokomotywy.

— Handel; handel, kupuje, sprzedaje, starzyznę, ubrania, handel.
A zaraz potem, jakby bojąc się zdystansowania:

— Blacharz lutuje, reperujjje.

Skrzypce fałszują w sposób rozbrajający. Jeszcze gorzej głos: „Je-
sienne róże, róże piękne, herbaciane. Jesienne róże, są jak...”

Trzeba na chwilę otwo-
rzyć okno. Wywietrzyć.

Gwar ulicy bucha. Tur-
kot motorów samochodo-
wych. Rozmowy i rozmówki.
Na postoju taksówek, szofer
bezsilnie mocuje się ze star-
terem.

Przez sąsiednią ulicę do-
stojnie telepie się żałobny



*Do mechanicznej
symfonii wiel-
komiejskiej
(dzwonki, klak-
sofony i t. p.)
dołączają się
i głosy ludzkie
(przekupnie,
śpiewacy
uliczni)*





Badanie nasilenia hałasów w poszczególnych dzielnicach miasta



marsz chopinowski. Ktoś idzie przez miasto już po raz ostatni. Dzieciaki na podwórzu z powodzeniem nasładują najdzikszych z dzikich.

Terkocze jakaś maszyna do szycia. Po klawiszach innej maszyny z bezwstydną szybkością biegają palce stenotypistki. Może ładnej, szczupłej, wysokiej blondynki, która dniami i nocami marzy o słonecznym, dalekim Hollywood i chociaż godzinie sam na sam z Gary Cooper'em.

— Stolarz, stołki, krzesła, szafy...

Czyjś płacz, spazmatyczny, żałosliwy. I wszystko nagle przycichło w piekielnym hałasie pneumatycznego świdra, który rozdziera asfaltową powłokę jezdni.

Mimowoli palce cisną się do uszu, a usta błagają:

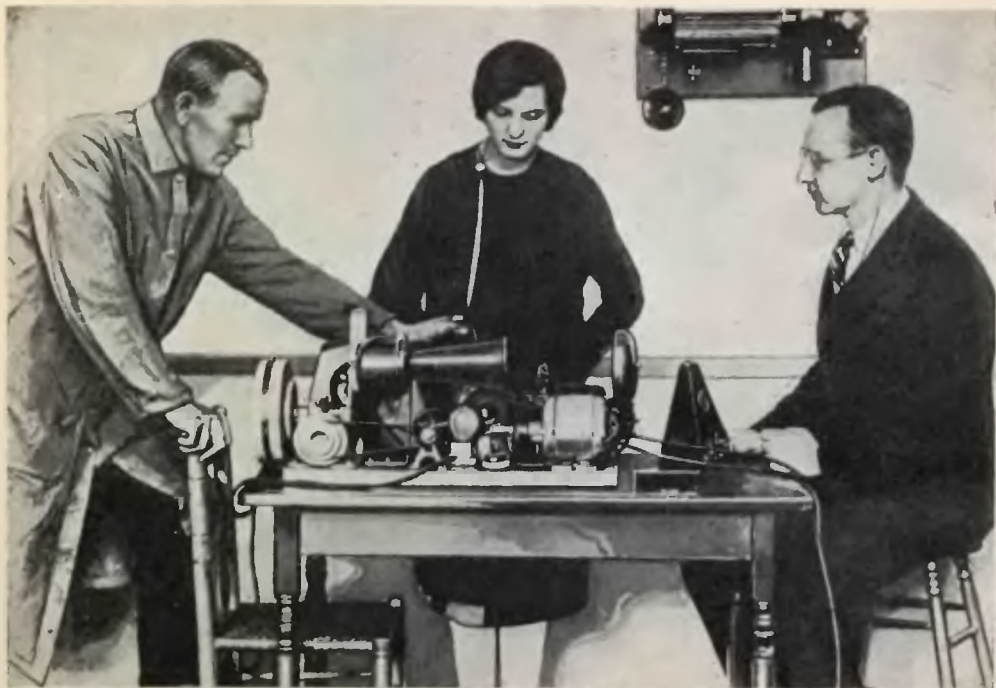
— Minutę ciszy daj nam, Panie...

Gdzieś pod błękitem hula zuchwały lotnik. Chwila a spadnie na bliskie dachy. Nie, leci znów, śmiały, bez troski i w swym łoskocie silnika — bezczelny.

Kamienica ta i tamta, bliższa i dalsza, kamienice całego miasta pry-chają melodiami radjowych i gramofonowych głośników.

I stare, pocziwe, do szału doprowadzające gamy. Zgrzyt hamulców, to znów zachrypły ryk klaksonu.

— Do winogron paniusiu, słodkich winogron, dwa złote, kilo, dwa złote...



Studjowanie intensywności wielkomiejskich hałasów (próba klaksonu samochodowego)

— Romanse, poezję, nowele, najciekawsze książki...

Na podwórzu gra cała kapela. Jest nawet taki, co popisuje się na — pile.

Opada powoli mrok. Ale nie cisza. Teraz wszystkie dźwięki miasta są jakby jeszcze głośniejsze, jeszcze bardziej dokuczliwe, bo kiedy właśnie układasz się już do snu, nagle z dołu czy z góry, z prawa czy z lewa, zacznie sączyć się z denerwującą rytmiką jakiś slow-fox, jakieś tango, jakieś romanse cygańskie...

Co chwila alarmujący dzwonek na dozorcę. Łoskot bramy. Nadchodzi cisza, teraz już tylko upstrzona trąbkami samochodów i łoskotem wozów śmieciarzy.

Włodzimierz Popławski

LEKARZ-DENTYSTA CHIRURG-PLASTYK

Dr. ST. MICHAŁEK-GRODZKI

WARSZAWA.

WSPÓLNA 49-3

Operacje estetyczne twarzy, nosa, uszu. Plastyczna biustu, brzucha, kończyn. Ginekologiczna-plastyczne. Zniekształcenia ciała. Braku owłosienia (łysin). Operacje odmładzające.

(Godz. 12-2 i 5-7).

Pani naprawdę elegancka

Fejleton nieco złośliwy

Ogólnie utarło się przekonanie (w Polsce), że Polki, a zwłaszcza warszawianki są bardzo ładne i bardzo eleganckie. Pojęcie urody — to rzecz całkiem względna, kwestja *osobistego* gustu, tego co się komu podoba... Natomiast określenie: elegancka — to już rzecz mniej względna, to także sprawa gustu, ale gustu ludzi bardzo w tym względzie wyrobionych, gustu najwyższego areopagu mody, profesorów linii, ruchu i gestu. Gdzież się mieści ta wyrocznia, akademja mody? Oczywiście w Paryżu.

Skąd się bierze moda? Gdzie wykwita, dlaczego dziś nie „nosimy” gorsetów, a nasze młode mamusie jeszcze „wczoraj” nabijały się w nie, nielitościwie gnębiąc niepotrzebnie wystające, a uwypuklając starannie wystające części i cząsteczki ciała? — Są tacy naiwni, którzy twierdzą, że moda „bierze się” z ulicy. Bywa i tak, raz na sto lat, nie częściej. I jeśli się zrodzi na ulicy, umiera na ulicy — do salonów i buduarów nie wejdzie nigdy.

Modę rodzi ciało kobiety, a przyobleka w realne kształty olówek wielkiego artysty-rysownika i palce wielkiego artysty-dekoratora.

Kobieta przedwojenna zajmowała zupełnie inne miejsce w społeczeństwie, niż zajmuje kobieta powojenna. Kobieta czasów obecnych ma znacznie więcej swobody, jej udział w życiu codziennem jest znacznie bogatszy, niż przed 15-u laty. Kobieta stała się od lat kilkunastu bardziej równą mężczyźnie, niż w okresie poprzednim, jest swobodniejszą w obcowaniu, lepiej i pewniej się czuje w męskim towarzystwie. Swoboda poczucia idzie do pewnego stopnia w parze ze swobodą ruchów, a na to, aby mieć ruchy swobodne trzeba mieć stosowne ubranie.

To jedno. Idąc dalej potrącamy o sprawę rozwoju sportów. Mimo, że Europa miała pod nosem Anglię, sport wśród kobiet spopularyzowały raczej Amerykanki. Sztynna, skrzepowana gorsetem, najczęściej nieco sztuczna, bardzo niezaradna fizycznie kobieta przedwojenna zaczęła się interesować sportem,

musiała wobec tego przede wszystkim zrzucić krepujący gorset, fiszbinę i niewygodne, zbyt obfite... „falbanki”.

Kobieta zmieniła zasadniczo teren swych „operacyj” — porzuciła częściowo buduar i salon, które doniedawna były jej *jedynym* terenem, a „zdobyła” dla siebie pole golfowe, kort tenisowy, pływalnię, taflę lodową i ośnieżone stoki gór. Jest rzeczą jasną, że trudno czuć się dobrze na tych terenach w gorsecie i fiszbinach pod szyją...



Elegancka suknia spacerowa (Vogue)



Na lewo: Miła i zgrabna sylwetka, ale nogi ubrane źle, nie harmonizują z całością (niskie obcasy przy kostjumie popołudniowym). Na prawo: całość stonowana

Kobieta zaczęła chudnąć od sportu — jej ciało zaczęło tracić nadmierne wybujałości, linja stawała się coraz bardziej smukła. Oczywiście, kilka razy do roku „badał” ją jej opiekun ubraniowy, naprawdę wielki artysta linji: z chwilą, gdy kształty „chłłopięciały”, mistrz rysunku musiał zmienić styl, musiał szukać innych rozwiązań linji, a więc porzucić raz na zawsze postać osy wpół przeciętej górcsetem i paskiem i zaczął tworzyć nowoczesną „linję węża”. — Tak mniej więcej narodziła się nowoczesna linja kobiety.

Godzi się podkreślić wyrażnie: modę tworzy się dla żywych ludzi.

Modele rysują wielcy artyści, przeważnie malarze z dyplomami i t. p. urzędowymi patentami swych umiejętności, zarabiający na swych produkcjach setki tysięcy franków. Ci artyści swej sztuki nietylko śledzą bieg ży-

cia najbogatszych ludzi świata, ale prowadzą ze swemi klientkami długie dysputy na temat zagadnień, które wyrastają z dnia na dzień. Rysunek naszkicowany dłonią mistrza linji, obrzuca badawczym okiem dekorator — człowiek mający palce „z aksamitu” a oczy widzące jednocześnie w wszelkich możliwych wymiarach i proporcjach. Dekorator znający się dobrze na rzeczy ocenia z jakiego materiału trzeba uszyć daną kreację, jaką naszkicował jego kolega-rysownik. Dekorator nietylko ocenia — zamawia także potrzebny materiał we właściwej fabryce, pilnuje wykonania i t. p.

Sprawa doboru odpowiedniego obuwia, (materiał, czy skóra, linja obcasu i całego pantofla i t. p.), dodatków, drobiazgów i t. p. to są już sprawy drugorzędne, choć wkłada się w nie bardzo dużo pracy a myślą o tem

wielcy i bardzo drodzy fachowcy. Oczywiście taka kreacja kosztowała doniedawna około 5 tys. fr. fr. (obecnie cena „kryzysowa” 2,5 tys. fr.). Jeśli weźmiemy pod uwagę olbrzymie pensje tych „dyktatorów” mody, cena nie wyda nam się wygórowaną.

Widać jasno z powyższego szkicu, że wiel-



Modna piżama w najlepszym gatunku

ka moda jest przeznaczona dla tych nie-licznych tysięcy najbogatszych kobiet świata, które są jej współtwórczyniami. Z tej świątyni mody — największych magazynów, zatrudniających najdroższych, a więc najlepszych fachowców, moda idzie dalej — do magazynów mniejszych, lecz tak samo dobrych, tak samo pilnie sledzących każdy dzień postępu i zmiany, magazynów *genjalnie kopujących*. Ileż procesów było z powodu tych „kopii”!!

Z nastaniem kryzysu wielkie magazyny zaczęły otwierać pod inną firmą mniejsze zakłady w tańszych dzielnicach miasta. Tutaj te same modele kosztują taniej, gdyż klientela jest uboższa. Tutaj taka sama suk-
nia, jak u Chanel'a, Wortha lub Lelonga za

3 do 5 tys. fr., kosztuje „tylko” 1.000 fr. Tutaj ubierają się nierzadko kobiety o najbardziej wyrobionym smaku, ale nie tak bogate, tylko zamożne. Te małe, dobre magazyny należałoby chyba nazwać propagatorami mody.

Wielkie magazyny próbowały strzec swych tajemnic — rysunku, gatunku materiału, deseni i t. p. — nie udawało się. Wyszpiegowano to szybko, podrobiono, czasem jeszcze lepiej i zręcznie. Ale małe magazyny strzegą swej tajemnicy jeszcze pilniej, niż wielkie. Trzeba jej strzec przez rok, a co najmniej przez sześć miesięcy. Wtedy sprzedaje się modele za $\frac{1}{4}$ część ceny (słynne *solde'y* paryskie) i moda wychodzi na ulicę.



Zgrabna sylwetka, w piżamie... domowej provenjencji

Kobieta elegancka w zachodnio-europejskim tego słowa znaczeniu nie będzie nosić ani jednego dnia modelu czy rzeczy, która się spopularyzowała, która przeszła do magazynu konfekcji produkującego serjami, która „wyszła na ulicę”. Kapłanką mody może być tylko kobieta, która wydaje na



Na lewo: niewłaściwe ubranie nóg. Na prawo: te same nogi, ubrane elegancko: gładki, smukły pantofel i odpowiednie pończochy

swoje ubranie... bająskie sumy (cyfry są niebezpieczne, nie uwierzyłby nikt oprócz mężczyzny płacącego rachunki). Kobieta naprawdę elegancka musi nosić to, co jest modne, gdyż to zostało dla niej stworzone. Jeśli modne są rzeczy obcisłe — jest szczupła, jeśli modny jest biust — ma go tyle, ile potrzeba i tam, gdzie potrzeba.

Kobieta elegancka nosi tylko rzeczy — najdroższe — najlepsze, jakie fabryki zdołały wytworzyć. *Cena nie gra roli*. Suknia musi być zrobiona z odpowiedniego, dobrego materiału — wtedy inaczej leży, inaczej się układa. Tak samo z wełną, to samo z pończochami, z wykończeniem. Tak samo z pantoflami, które muszą mieć linię wystudjowaną przez doskonałego rysownika, zrobione przez dobrego szewca i z najlepszego materiału: skóry, jedwabiu, brokatu i t. p.

Proszę sobie zapamiętać: kobieta, nosząca pończochy po 4 zł. para, sukienki z tanich materiałów i gotowe pantofle, kupione w magazynie maszynowego obuwia — *nie może być elegancka*. Tak zawyrokowały te damy, które tworzą modę. Tak się umówiły — na to niema rady. Taka osoba może być miła, pełna wdzięku, gustu, może być przyzwoicie, umiejętnie i „szykownie” ubrana, ale elegancką nie jest nigdy.

W tem miejscu trzeba dodać, że małe lub tandetne magazyny stwarzają czasem własną modę, t. zw. modę ulicy, albo *modę popularną*. Niektóre wytwórnie obuwia starały się wprowadzić na rynek np. pantofle z różnemi wstawkami z innej skóry i t. p. „dekoracjami”. Dlaczego? Bardzo proste: cała cholewka, nawet z pośledniejszej skóry, jest kilka razy droższa od cholewki sztukowanej. Trzeba mieć doprawdy wiele gustu i samokrytycyzmu, żeby możliwie gładko wybrać z okazałego asortymentu pokus, podsuwanych przez tandetne magazyny, najczęściej fałszywie (aby taniej) i nieudolnie naśladowujące rzecz drogą i dobrą. Modne przed kilkoma laty szerokokolejne pończochy „amerykańskie” są ładne, jeśli je wykonano z dobrego jedwabiu. Z nitki szkodkiej czy innego ersatzu — są okropne. Tanie magazyny walczą z prawdziwą, drogą modą. Mają potężną broń — taniść. Ale nie wygrywają nigdy. Wypuszczają najczęściej rzeczy nieładne, łatwo się opatrujące, nieestetyczne, tworzone przez tanich, a więc lichych rzemieślników. Starają się wmówić w klientki, że to moda — „nowojorska”, „paryska”, „londyńska” i t. p. Często się zdarza, że ta tandeta pochodzi rzeczywiście z tych

miast, wytworzona przez trzeciorzędne fabryki tandety i specjalne magazyny.

Kobieta elegancka jest ubrana zawsze w rzeczy najlepsze, bezwzględnie do jej figury przystosowane. Jej ubiór jest zawsze dostosowany do okoliczności i miejsca, jest przemyślany. Tam, gdzie ubranie powinno być jaskrawe — jest takie, gdzie należy, aby było spokojne i poważne — ubiera się w nie. Kobieta elegancka ubiera się *dla siebie, nigdy dla innych* (w Warszawie jest wręcz odwrotnie — szuka się natychmiast tej nowości w magazynie, którą zobaczyło się wczoraj na przyjaciółce). Linja pantofla (tanie obuwie warszawskie jest ekstraktem złego smaku) spokojna, wymukła. Pantofel bez żadnych niepotrzebnych dekoracji, dodatków. Suknia dostosowana do linii ciała — która obecnie powinna być smukła (na to niema rady, tak być musi). Głowa... Tutaj muszę rzucić rękawicę: Polki są kobietami, nieumiejącymi sobie dać rady z własną głową, ściślej włosami. Co za potworne loki, loczki, naiwne „niobki” i t. p. bzdurstwa, mające nadawać „charakter” twarzy (ma być „anielski”, „wiśniowy”, „rozmarzony” i t. p. — jest najczęściej naiwno-głupawy lub trzpiotowato-niedomyty). Jedną z cech



Przyjemne, estetyczne uczesanie, choć typu przestarzałego (à la garçonnette)

charakterystycznych przyzwoitej sali zagraficą jest uczesanie pań. Ich włosy są przede wszystkim *solgnés*, poza tem ułożone ze smakiem, spokojnie, naturalnie. Małowicze „strzechy” lub loki zostały wyklęte na długi czas. Kapelusz jest jedyną częścią garderoby damskiej, pozostawiającej kobiecie największą skalę wyboru. Moda pozwala sobie tutaj nawet na kaprysy. Musi być natomiast wykonany z najlepszego materiału, czy to będzie słomka, filc, zamsz, czy aksamit.

★

Taką jest kobieta naprawdę elegancka. Moda jest stworzona dla niej — ona tworzy modę. Nigdy nie nosi tego, co nosi ulica. Ubiera się tylko w rzeczy najlepsze i najdroższe. Nie uznaje tandety. Jest wypielegnowana od stóp do głów, od paznokietka małego palca u nogi do najdłuższego włosa na głowie. Wszystko dla niej robią najlepsi specjaliści, najtężsi fachowcy.

Przypomnijmy sobie, jak często nadużywamy w Polsce określenia „kobieta elegancka”.

Kobieta elegancka nie uznaje... kryzysu.

Wybaczenie, piękne panie, że mój feljeton jest tak beznadziejnie nieaktualny.



Skromne, eleganckie uczesanie (Vogue)

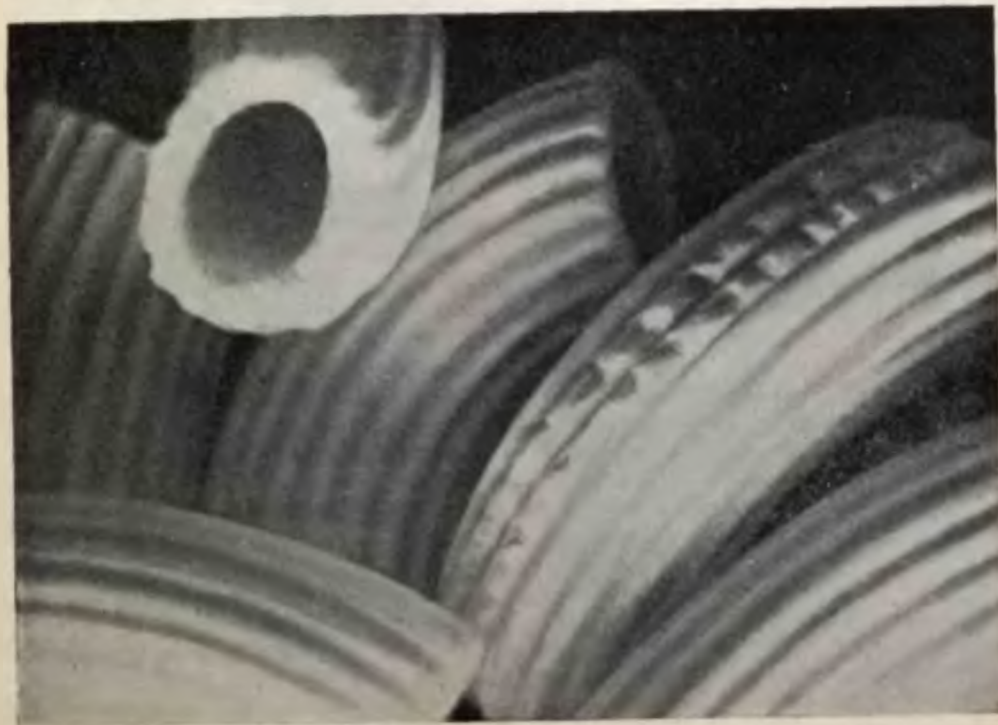
Fot. W. Żeliszewska

Tadeusz Grobowski

Co przedstawiają



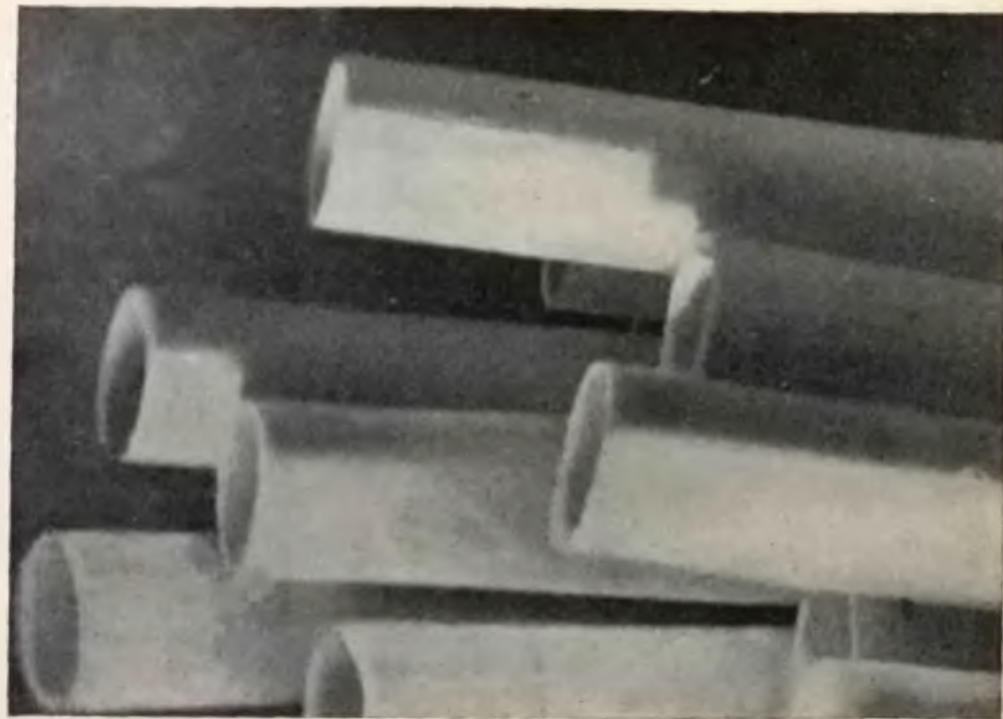
I



II

te zdjęcia?

Fot. Jerzy Brzeziński



IV

(Odpowiedzi na III. str. okładki)

III



w cichym dworoku

Ilustr. St. Norblin

Napisał:

Jarosław Janowski

Kiedy koła przestały podskakiwać na „miejskim” bruku; kiedy bryczka ślizgać się poczęła po gładkiej szosie — pannę Hanię ogarnął wiatr szerokich pól. Wpłatał się w każdy fałd sukni, podjął za kolana, wylatując około szyi. Przewiał, przedmuchał nawskroś.

Zdenerwowanie opadło o kilka stopni. Hania zapomniała na chwilę o celu podróży, zatapiając się w otaczającej ją przyrodzie.

Tak dawno nie była na wsi. Z rozkoszą smakowała zapach zboża, zmieszany z drażniącą, ostrą wonią uprząży i konńskiego potu.

Najmilsze wspomnienia z lat dziecińczych wiązały ją ze wsią. Urodzona, częściowo wychowana w kresowym dworze, czuła w atmosferze wiejskiej jakby powiew „lepszych czasów”. Straciwszy podczas wojny ojca, oraz rodzinny majątek od lat kilku mieszkała z matką i ojczymem w Warszawie, deraabiając na swe utrzymanie pracą biurową. Po redukcji — rok przeszło szukała zajęcia. Aż wreszcie dała ogłoszenie tej treści: „Osoba młoda, przystojna, z ziemiańskiej sfery poszukuje posady; najchętniej na wsi”. — W kilka dni potem matka jej rozmawiała przez telefon z jakimś panem, który chciał widzieć się z Hanią w wiadomej sprawie. — Chodzi tu, proszę pani — mówił — o reprezentowanie domu na wsi. Jest to dwór, pozbawiony opieki kobiecej... — Świetne stanowisko — zawołała Hania, dowiedziawszy się

o „telefonie”. — Mam już dosyć zajęć biurowych! — Świetne, ale i trochę... ryzykowne dla młodej panny... Un peu hardie, moja droga — oświadczyła matka.

Panna Hania poszła do hotelu Bristol na umówione spotkanie. Przyjął ją szpakowaty elegancki jegomość.

— Jestem przekonany, że dojdziemy do porozumienia — rzekł, oceniając wzrokiem jej postać.

Trzeba tu dodać, iż panna Hania była istotnie przystojna; więcej! miała dużo wdzięku w ruchach i postawie.

— Na czym polegać ma jej zajęcie? — na „reprezentacji”, tj. na czynieniu honorów domu. Tak. Bówiem przyjaciel mój, a zarazem właściciel majątku jest wdowcem. Ponieważ jednak dom nie świeci pustkami — potrzeba kogoś, ktoby stworzył tę atmosferę, jaką jedynie kobieta wywołać potrafi.

Hania była zadowolona z wizyty. Wprawdzie rodzinka miała „szereg zastrzeżeń” co do tego projektu, ale — mówiono: — Hania nie jest dzieckiem, wie co robi; nie może dłużej „marnować się” beczynninie; zresztą pobyt na wsi „wyjdzie jej na dobre”.

*

Bonifacy wrócił w złym humorze do domu.

— Bodaj cię kule z twojemi pomysłami narzekał, kiedy mu Hieronim oznajmił przyjazd panny Hani.

Hieronim, przyjaciel „diedzica Bonifaca”, jak mawiał żartobliwie, był właściwym panem Laszkowic. Młodszy od Bonifacego o dobrych lat dziesiątek (diedzic przekroczył już sześćdziesiątkę), energiczny, sprytny umiał zawładnąć Laszkowicami wraz z upartym i zdziwaczalnym Bonifacym, co zresztą nie przeszkadzało kłótniom. Bonifacy stanowił stałą, choć bezpłodną opozycję. — Protestuję! powtarzał przy łada sporze. Hieronim, niby ustępował „wobec siły wyższej”, przegrywał bitwę słowną, lecz dalej robił swoje...

— Mało lampartujesz w Warszawie, żeby mi tu jeszcze kobietę sprowadzać. Tego za wiele! Protestuję. — Słowa jego wyskakiwały z gardła skrzypiącymi grudkami. Gdy zaczynał mówić miało się wrażenie, iż stary, pordzewiały zegar zaczyna wydzwaniać go-

dziny: słyszało się najpierw chrapanie, potem dopiero wyskakiwały dźwięki.

— Ależ to będzie nasza „pani domu”, bez której dwór traci cały urok... Wcale nie mam zamiarów agresywnych w stosunku do panny Hani.

— Powinszować stryjowi „gosposi”. Pan Hieronim ma dobry gust — wmieszał się do rozmowy Ziubek, siostrzeniec Bonifacego.

— Naturalnie. Jesteś po stronie Hieronima. Jak zawsze. Zastanawiam się chwilami, czy w tobie płynie krew Szczekalskich: tak mało mamy wspólnych upodobań.

Tymczasem nie miał racji stary Bonifacy. Stryj dziwak nie powinien mieć takich pretensyj do siostrzeńca, który już za młodu odznaczał się usposobieniem ekscentrycznym, skłonem do osobliwych wybryków. Zamieszkania Ziubka biegły po trawnikach wyrafinowanej dziwaczności. Sypiał w czarnej pościeli; na noc wkładał czarną pidżamę, przepasaną złotym sznurem. Nad łóżkiem, na tle ciemnej kotary, wisiał portret Greta Garbo. Artystka ta była jego „ideałem”. Miarą jej piękności mierzył spotykane w życiu kobiety „Zasadniczo” uznawał tylko blondynki, o jasnej, przezroczystej cerze.

*

Dwór Laszkowic nie należał do zbyt obszernych.

Gabinet Bonifacego i salon stanowił jeden pokój. Kiedy Bonifacy zasiadał przy biurku — stawał się głuchy i nieczuły na wszystko, co się działo w drugiej części pokoju, przeznaczonej na salon. Jeśli np. Hieronim przyjmował gości w salonie — Bonifacy ignorował zupełnie ich obecność, dopóki przebywał w obrębie swego biurka.

Dla żartów Ziubek narysował na podłodze „linię demarkacyjną” między „gabinetem” a „salonem”. Żart żartem, ale pan Bonifacy coraz mocniej wierzył w istnienie jakiejś sciany, zasłaniającej go od strony salonu.

Niezwykłe obyczaje panujące w Laszkowicach miały dla Hani swoisty urok. Przesycona regularnością, znudzona monotonią dotychczasowego życia — z zadowoleniem stwierdzała zmianę.

Nikomui zapewne nie przyznałaby się, nie wyłączając samej siebie, że wyjeżdżając do Laszkowic, pragnęła pocichu jakiejs sensacji, przygody, awanturki.



Ziubek „zasadniczo” uznawał tylko blondynki w typie Greta Garbo

Czyniąc bilans swoich przeżyć spostrzegła, że przeszłość jej jest bladą kałużą, w której odbija się zachodzące słońce. Hania zlekła się, iżby nie zaszło, nie rozpaliwszy jaskrawszymi barwami różańca monotonnych dni.

Miłość — przyjaźń — sympatja — pojęcia tak często wracające w rozmowach — były to dla niej obszary niezgłębiane, ziemie dziewicze, nietknięte stopą odkrywczy. Nieraz, zwłaszcza wobec kobiet, czuła się skępowana swoją nieznaną przedmiot, swoim niedoświadczeniem życiowym.

Cóż, że pozostał jej w pamięci, jeszcze z czasów szkolnych, jakiś „skradziony całus”, uszczknięty przez śmiałego studenta? Cóż, że zdarzyło jej się parę razy pomyśleć ze szczególną życzliwością o napotkanym nieznanym przechodniu? że nawet pragnęła skrycie zostać przez niego zaczepioną?

Krótkie te przeżycia i wrażenia spływały po gładkich zboczach konwenansu towarzyskiego, pozostawiając po sobie tęsknotę za czemś nieznanem, nowem, wstrząsającym.

Teraz, izolowana od rodziniki i serdecznych przyjaciółek, dwóch najpotężniejszych aparatów plotki, miała większą swobodę działania.

Hani spodobał się Ziubek. Pociągał ją zewnętrznym wyglądem; imponował ruchliwością umysłu, efektowną siecią frazesów, salwami niespodziewanych powiedzeń.

Ziubek służył za przewodnika po dobrach laszkowickich. Pod pretekstem zwiedzania Laszkowic czy okolicy wymykali się razem na spacery piesze lub przejażdżki.

Coprawda, Ziubka trochę irytowało istotne zainteresowanie jakie okazywała Hania dla spraw wiejskiego gospodarstwa; wołałby widzieć ją bardziej „abstrakcyjną”, lecz ostatecznie musiał pogodzić się z rzeczywistością.

Hanię bawiły owe „sam na sam” z Ziubkiem.

Patrząc na jego usta myślała: dlaczego nie miałabym pozwolić spocząć im na moich wargach?

To też, gdy pewnego razu, w czasie którego ze spacerów, poczuła na policzku łaskotliwy dotyk pocałunku — nie broniła zbyt swych ust.

— Dlaczego mię pan całuje?

— Bo pani jest słiczna.

Dreszcz zadowolenia przemknął jej przez krzyże. Ale wnet przyszła refleksja:

— To samo może pan powiedzieć każdej przystojnej kobiecie.

— Nie. Pani jest inna. Niepodobna do innych kobiet. Olśniewająca.

Czuła, że Ziubek mówi nieszczercze, że przesadza. Lecz taka już jest ta gra, zwana miłością czy namiętnością: wystarcza konwencjonalny, rytualny frazes dla usprawiedliwienia swego postępowania, dla zadowolenia próżności. Trzeba wyszeptać hasło, aby zostać wpuszczonym do fortecy. — Podobam mu się, zajęłam jego umysł — takie konstatacje są zawsze miłe i schlebające ambicji.

Hanię zadowolili wynik pierwszej „próby”.

Postanowiła wszakże nie ponawiać „doświadczeń”: żeby on przypadkiem nie pomyślał, iż może ją całować „jak jakąś pierwszą lepszą”...

Nazajutrz darmo Ziubek ponawiał ataki.

Widząc zapał, z jakim ją szturmowano Hania doznała uczucia wysokiej dumy. Przez dni następne stosowała taktykę „negatywną”.

Ziubek zdziwił się zmianą. Po pierwszym sukcesie sądził, że wszystko pójdzie gładko i przyjemnie. Tymczasem nagły opór zaskoczył go i zdenerwował. Najpierw, sądząc, iż jest to przelotny kaprys, starał się odpowiednią argumentacją przełamać „front”. Doppytywał się o przyczynę zmiany. Tonał w komplementach. Zapewniał o swem „gwałtownem” uczuciu. Bezskutecznie.

Wówczas, zniecierpliwiony, machnął ręką na całą przygodę. Oziębnał.

Jeździli jeszcze czasem po okolicy, lecz Ziubek połykiwał lodowatą grzecznością.

Hanię zaniepokoił nowy ton w zachowaniu Ziubka. Zrozumiała, iż przeciągnęła grę defensywną... Była zła na Ziubka. Oczywiście! gdyby kochał naprawdę, czyżby skapitulował tak prędko?

— Właściwie dobrze zrobiłam: wiem teraz, co o nim sądzić... Chociaż... czy ja nie zanadto bezwzględnie odpychałam go od siebie? Czy sama nie prowadziłam do tego zakończenia? — Zakończenia?! — No tak, przecież on nie dba już o mnie. — A jednak... Hania nie zrezygnowała z chęci odzyskania Ziubka.

Pragnienie to płynęło z dwóch źródeł: zranionej ambicji oraz żalu z powodu przedwczesnego przerwania ciekawych „prób”.

Hania obrała teraz „dyskretną” taktykę. Szczególną dbałością otaczała sprawy toale-



...Hanię bawiły owe „sam na sam”...

to. W rozmowach (w obecności Ziubka) usiłowała błyszczeć gamą subtelnych półcień, niedomówień, bądź też dzwonić pełnią dowcipu i wesołości. Ażebym wzbudzić zadrzot w Ziubku — wymowę i zaloty swe skierowała w stronę pana Hieronima, który, zachwycony tym obrotem rzeczy, z całą gotowością podtrzymywał dialogi.

•

Zmrok nasycił atmosferę nastrojem lirycznym. Na dworze szarżało.

Zachodnia strona nieboskłonu odbijała ostatnie blaski dnia. Słońce spadło już za wzgórze.

Bonifacy siedział przy biurku.

Ziubek skończył właśnie wertować amerykański miesięcznik „Vanity fair”. Interesował go szczególnie wynik plebiscytu, rozpisanego przez redakcję celem wyznaczenia 10-ciu najstawniejszych, najżywotniejszych nazwisk w historii. Figurowały tam imiona znakomych pisarzy, malarzy, mężów stanu, a obok nich imiona „gwiazd” filmowych. I tak: Charlie Chaplin zdobywa tyleż głosów co Chopin, tyleż prawie co Goethe. Douglas Fairbanks tyle co Cocteau. Józefina Baker

dotrzymuje placu Dempsey'owi i... Benedyktoowi Croce. Pola Negri dystansuje swą czekoladową rywalkę, ulegając, ku niemałej satysfakcji Ziubka, przetowłosej Grecie Garbo.

...Wtem łopocąc skrzydłami ciszy — na dywanie salonu — Hania. — Błada blondynka o przezroczystej cerze, mająca w ruchach i wejrzeniu coś, co przypomina szwedzką piękność ekranową... Zjawiła się, jakby wywołana z marzeń ziubkowych: zjawisko nieoczekiwane a ponętne krasą młodego ciała.

Miękko zabrzmiały słowa, rzucone w wołok zmierzchu. Pomknęły chybkim strumieniem jak perły z przedartego naszyjnika, sypiące się bezgłośnie po aksamicie.

— Jaka pani dzisiaj śliczna!

— Skądże nagle ten komplement?

— Nie pierwszy raz to mówię.

— POCO kłamać? Pan nie wierzy własnym słowom.

— Może to i prawda. Jestem trochę artystą. Improvizuję. Ale pani piękność naprawdę podziwiam.

— Uważa mnie pan za figurkę z porcelany, którą się podziwia, za statuetkę, którą się ustawia dowoli w korzystnym świetle, nie pytając czy jej to sprawia przyjemność.

— Pani nie pozwala się podziwiać?

— Podziw ma w sobie tyle chłodu!

— Pani woli... gorętsze uczucia?

— ...Może...

Hania mówiła nerwowo. Doznawała lekkiego ucisku w okolicy szyi. Przed oczami przełatywały białe welony. Kiedy Ziubek zbliżył się do niej tak, iż poczuła jego oddech na twarzy — nogi ugięły się bezwolnie, ramiona zadrżały...



...Wertował amerykański miesięcznik...

Kaszel Bonifacego rozległ się jak fałszywy akord w zgranym chórze głosów.

— Przejdźmy do mojego pokoju. Nie będziemy tam nikomu przeszkadzać — szepnął Ziubek, wskazując znacząco na Bonifacego, biorąc Hanę pod ramię. Weszli.

— Pani jeszcze nie była w tym pokoju — powiedział bezmyślnie, aby tylko przerwać milczenie. Zarazem objął Hanię i przyciągnął do siebie.

Z irytacją myślała Hania o „rozmowie w salonie” i jej dalszym ciągu u Ziubka.

— Czego on mnie tam wciągnął? Gra nie warta była świeczki. Jestem skompromitowana przed Bonifacym, a przecież... nic takiego nie zaszło, coby *usprawiedliwiało* kompromitację! I to właśnie najbardziej drażniło Hanię: pozory oskarżały ją, a rzeczywistość uniewinniała.

Ziubek, przyciągnąwszy Hanię do siebie — usadowił ją na otomianie (obitej na czarno), sam klęknął przed nią, zachwycony, i zaczął zarzucać ją siecią teorii życiowo-estetycznych. Upojony swemi frazesami zapomniał



...Zastał ją siedzącą w zamyśleniu nad stawem...

niemal o Hani, której nie „na miejscu” wydał się ten potok gadaniny.

— Nie znoszę ciekłej galarety szablonu! We wszystkim co robię musi przeświecać pstra mozaika pomysłowości, własnej inwencji, słowem: oryginalność.

Ot np. teraz: klęczę przed panią nie jako przed kobietą, lecz jako przed zachwycającym wcieleniem mych marzeń... Marzenia, spowite w alabaster ciała; marzenia — urzeczywistnione, chociaż... czy można urzeczywistnić marzenia?

Hani nie wsmak była „ciekłą galaretą” tych wywodów (—co powie Bonifacy o naszym zachowaniu się!—), więc poprostu, widząc, iż zanosi się na dłuższy wykład, wymknęła się z pokoju.

Bonifacy doniósł o „fakcie” Hieronimowi.

— Nie dosyć, że włóczy się z dziewczyną po folwarku, jeszcze mi ją tłamsi przed nosem, we dworze... A wszystkiemu są winne twoje zwarzowane pomysły!

Odtąd Hieronim starał się grać rolę bezinteresownego opiekuna. Spodziewał się doprowadzić drogą powolnego obłężenia do „zdobycia serca”.

Hania, czując się zaniedbana, opuszczona, chodziła smutna, z melancholijnym wdziękiem w spojrzeniu. Nastroj ten usiłował Hieronim zdyskontować na swoją korzyść.

Pewnego popołudnia zastał ją siedzącą w zamyśleniu nad stawem. Miejsce było zaciszne. Rozgrzane powietrze chłodziło się o brązowo-zieloną tarczę wody.

— Czemu pani jest smutna, panno Hanko? Tak chciałbym gorąco pani dopomóc; rozjaśnić jej twarzyczkę... Bo gdyby rzeczywistość czuła się pani w Laszkowicach obco — miałbym wieczne wyrzuty sumienia, że ją zachęciłem do tego przyjazdu.

Mówił płynnie, przekonująco dla młodej dziewczyny. Hania zaczęła wierzyć w „ojcowską życzliwość” Hieronima. Nie spodziewała się podstępów, wyrachowania. „Starszy pan” budził zaufanie. Hania uległa potrzebie zwierzeń. Wpadła w nastawione sidła liryzmu, sentymentalnej spowiedzi. Hieronim umiał mistrzowsko podtrzymywać poufny ton rozmowy. Sam nawet zaczął roztkliwiać się nad swoim osamotnieniem, brakiem kobiecej dłoni, coby musnęła od czasu do czasu jego

„siwe włosy” (z tą swoją „siwizną” przesadzał Hieronim!), ale ów zwrot dodał mu powagi i... nieszkodliwości w oczach Hani.

*

Z okazji imienin Hieronima odbył się w Laszkowicach dość liczny zjazd gości. Przybyła też nowa sympatja Ziubka, Iza.

Wrześniowa pogoda rozsiewała po polach ostatnie upały. Szukano w lesie wilgotnego chłodu.

Dzień był już krótki. Poza bladym firmamentem wyczuwano obecność nocy. Na wschodzie rysował się przezroczysty róg księżycy. Cienie sunęły zimnemi trójkątami, obejmując coraz większe wycinki ziemi.

Głos niesie się wyraźnie, dzwoni jasno.

Hania słyszy dokładnie, jak Ziubek oświadcza pani Izie:

— Pani jest urocza. Pani jest olniewająca. Jak dobrze patrzeć w twoje oczy!...

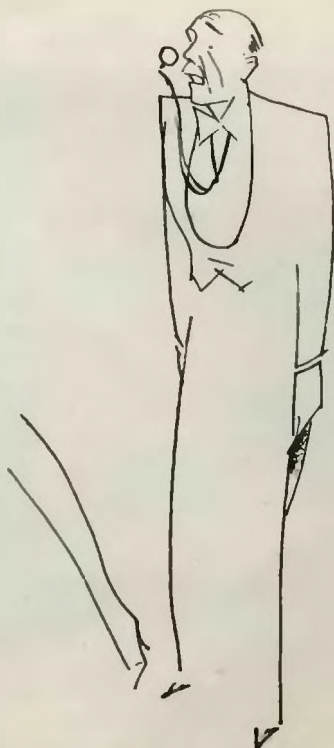
Te same słowa, ten sam ton, który niedawno łowił serce Hani — teraz ku innej skierowany! — O zdrado, o niestałości gorzka i beczelna!

Hania właściwie nie „kochala się” już w Ziubku, ale takie namacalne świadectwo niewierności dotknęło ją boleśnie.

— Wyjechać, porzucić czempredzej to srodowisko, gdzie doznała tylu upokorzeń... — Ach, pocóżem tu przyjeżdżała!... Złość zamieniała trzeźwy sąd o wypadkach: kto kogo upokarzał? czy wogóle działo się coś osobliwego, wyjątkowego? — Poco przyjeżdżała? — Celem objęcia posady, nie zaś w celu... matrymonjalnym. Zatem? Pomijając „zawód miłosny”, czy doznała jakiegś krzywdy? czy źle jej było na wsi?

Gniew, oburzenie nie dopuszczają takich pytań do wrót świadomości. Przyjemniej bowiem czuć się ofiarą, istotą skrzywdzoną, niezrozumianą, niżli przyjmować na siebie część odpowiedzialności za przykre wydarzenia. Przyjemniej jest wyolbrzymiać swoje cierpienie „wewnętrzne”, rozkoszując się zarazem swoją niewinnością, niż powściągać cugle rozgrzanej irytacji.

Hania długo „błądziła” po lesie, „ścigana” wizjami swych przeżyć. W pewnej chwili spróbowała nawet niezawodnego narkotyku na tego rodzaju cierpienie: płaczu. Ale przypomniała sobie, że trzeba będzie wkrótce zasiać do wieczery: każdyby zauważył, iż



... — Nie udało ci się złowić rybki...

plakała. Starła więc ślady kilku łez i zawróciła do domu.

— Chodzi o to, żeby on (tj. Ziubek) nie przypuszczał, że mnie na nim zależy — stwierdziła spokojnie z kielkującym zadowoleniem z obranej taktyki. — Wyjeżdżać również nie myślę tak nagle... myślałby, że to z jego powodu!

Hania wyszła z lasu. Przed nią, w dal po zboczach bieli się gościniec, prowadzący do samego dworu. Z pól wstają wieczorne opary, łącząc się z dymami chat. Błękit nieba przechodzi w granat. Hania zapomina na chwilę o swoich przejściach. Poddaje się rytmowi cichego zachodu. Oddycha zapachem łąk. Wielki spokój płynie z każdego zagonu. Krzew każdy otrzepuje z niej resztki gniewu.

Stateczne pogwarki sąsiedzkie przy furtkach zagród, rozsmiany pisk dziewczęcy, opleciony basem chłopczyńskiego gadania — tyle rzeczy dzieje się, tyle spraw przewala, a panna Hania przechodzi mimo, jak duch, niezauważona. Rdzawe płomyki lamp po

izbach — latarnie tysięcznych trosk wołają ku niej z mroku. Hania idzie mimo.

Zwolniła nieco kroku. Zaczyna odczuwać zmęczenie. Oddech staje się szybszy. Przy- staje. Szeroki wdech i dalej w drogę. Już niedaleko dworu.

Znużenie spała do szczętu okrucy wzbuz- renia; kusi obietnicą błogiego spoczynku.

Dopiero w drzwiach dworu przypomniała sobie o swoich smutkach.

Siedzano przy wieczerzy. Wnet pomknęły strzały dowcipów pod adresem spóźnionej. Zadzźwięczały toasty. Hania „na złość wszystkim” postanowiła nie pić. Nie rozchmurzyła się nawet wówczas, gdy Hieronim wznosił zdrowie „uroczej panny gospośi”.

Po kolacji zaczęto tańczyć przy patefonie. Zgiełkliwe tony jazzbandu szarpały nerwy sztuczną wesołością. Krótkiem wychnieniem było łkające spazmami miłosnej tęsknoty tango, a potem pogodny, uśmiechnięty walc.

Podczas gdy inni tańczyli, Bonifacy zakrapiał coraz to nowy kieliszek „czystej”. Hieronim, chociaż danser zapalony, też nie- jednokrotnie zaglądał do butelki, zachęcając gości do naśladowania Bonifacego.

Część towarzystwa wraz z proboszczem przeszła do pokoju Ziubka na małego „ko- zaczka”.

— Nie rozumiem pana Hieronima — oświadczył proboszcz. — Jak może człowiek w jego wieku zachowywać się jak smarkacz, wyprawiać podobne łamańce?

— No cóż... straci trochę „formę”, wyrów- na „linię w profilu”, co mu tylko pomoże — żartował Iksiński.

Około północy dwór zaczął pustoszeć.

Hania znalazła się sama w salonie. Zmę- czona całodzienną gorączką — z lubością pograżyła się w głębokim fotelu; ażeby unik-nać blasku żarówki — pochyliła głowę, wspierając czoło ręką.

Nie myślała już o niedawnych przejściach i o troskach, które ją gnębiły.

Prostu: była senna.

Hieronim inaczej ocenił jej wygląd.

— Pani znowu smutna? — przywołał wy- próbowane komunały „ojcowskiej” tkliwości.

Uśmiech; lekkie rozchylenie warg — obie- cująca odpowiedź — tak mniema stary Hie- ronim. Ostrożnie, delikatnie ściska dłoń dziewczyny. Sięga wyżej. Wabi go i magne- tyzuje matowy dołek nad obojczykiem. Osza- lał stary satyr! myślał, że złowi pannę! Sko- czył ku niej ustami. Zbudziła się wtenczas z odrętwienia. Przez błysk sekundy poczuła przy swej twarzy dyszące alkoholem usta; zielonkavo-żółte spojrzenie niedobrych oczu. I jeszcze: z kąta pokoju, nito żabi rechot — chrzkanie Bonifacego, który przypatrywał się scenie ze swego „gabinetu”.

— Precz!!

Zerwała się i jednym skokiem znalazła w swym pokoju. Zatrzasnęła drzwi.

— Nie udało ci się złowić rybki — recho- tał podпиты Bonifacy — chodź, oblejemy ten fakt żaloslnością...

*

Znowu stukają koła bryczki po szosie.

Znowu wiatr przewiewa sukienkę Hani.

Z uczuciem ulgi wraca Hania do monotoni dotychczasowego życia, opuszcza siedzibę kapryśnych niespodzianek.

Kiedy jechała tu przed paru miesiącami radowała się w cichości na myśl o niezna- nem, co ją czeka; tęskniła za nieograniczoną swobodą działania; kto wie, może spodzie- wała się spotkać romantycznego barda miło- ści, „silniejszej nad wszystko”. W każdym razie uważała, iż czas najwyższy dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego o życiu i je- go powabach... Teraz — właściwie cel swój osiągnęła. Poznała kulisy wielu niezrozumia- łych przedtem powiedzeń i gestów.

— Więc to jest miłość?! Nie może pogo- dzić się z „prozaicznością” tego stanu, opi- sywanego tak wzniosłe przez poetów. W życiu trudno jest rozgraniczyć prozę od poezji.



Zdjęcia naszych czytelników



Przyszły Tłoczyński



Mała Ewa



*Reminiscencje z słonecz-
nego lata nad morzem:
wesołe igraszki w słońcu,
na piasku...*



*...Panie popisywały się
najróżnorodniejszymi
kostjumami kąpielowymi...*

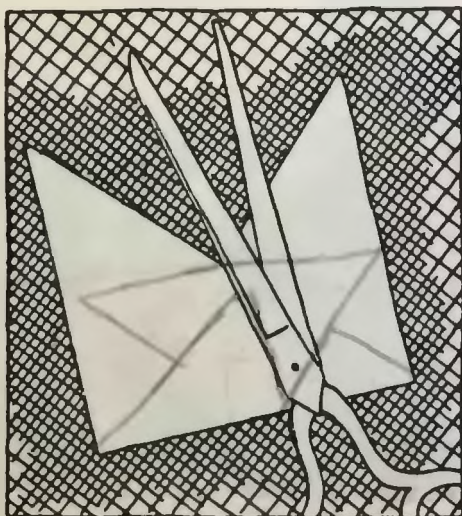
Rozrywki umysłowe.

PIENIĄDZE W BANKU



Pewien pan podejmuje w banku jedną trzecią swych pieniędzy i 200 złotych. Na rachunku jego pozostała połowa całego kapitału i 100 złotych. Ile miał poprzednio w banku tym pieniądze?

ZADANIE GEOMETRYCZNE



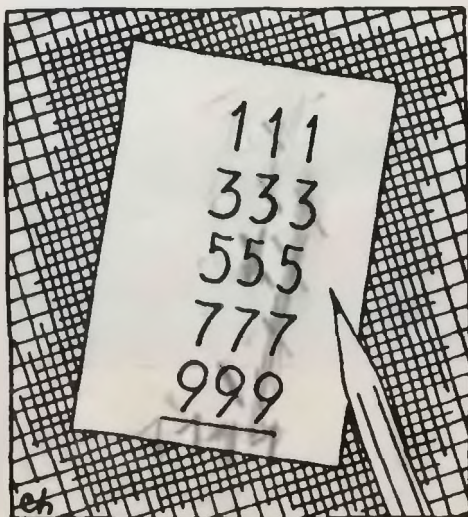
W jaki sposób można figurę wskazaną na rysunku rozciąć na cztery części jednakowego kształtu i powierzchni?

FENOMENALNY SIŁACZ



Siłacz podnosi w górę 300 kilo. Ile będzie mógł podnieść zapomocą linki uwiązanej do ciężaru i przeciągniętej pod sklepieniem cyrku przez krążek, stojąc na dole i ciągnąc w dół?

ZADANIE ARYTMETYCZNE



Z piętnastu cyfr powyższych należy wykreślić dziewięć w ten sposób, aby pozostałe dały w sumie 1111.

25

25

87

7/11



Carmen Gottlieb

phot. Paramount

Lady



fot. Henryk Hermanowicz Wilno

Jesienna burza

Kobieta w reklamie

Jednym z wielu charakterystycznych objawów dla epoki powojennej jest niebywały rozwój reklamy. Nastąpił wzrost przemysłu, handlu, konkurencji. Kryzys popycha do tej intensywniejszej walki o klienta i tu spełnia swe zadanie reklama. Winna ona zwrócić uwagę nabywcy, — zafrapować, zachwycić, przyciągnąć, zmusić do kupna.

Wychodzimy wieczorem na ulicę: miasto jarzy się światłami różnobarwnych reklam. Na słupach, w oknach wystawowych, na ścianach, na dachach domów zapalają się i gasną kolorowe żarówki, żarzą zielono, niebiesko, czerwono wężowe linje neonów. W dzień zamiast światła przynęcają nasz wzrok pomysłowe kompozycje plakatów, których powódź zalewa wszystkie miasta cywilizowanego świata.

Bierzemy do rąk czasopisma lub dzienniki: strony całe wypełnione są od góry do dołu ogłoszeniami. Najzdolniejsi rysownicy, najlepsi graficy oddają swe talenty na usługi reklamy. W przeciągu ostatnich kilkunastu lat grafika użytkowa zmobilizowała do szeregów tysiące artystów, wykształconych w licznych studiach, szkołach i atelierach graficznych. Bo ogłoszenie musi być przede wszystkim piękne i pomysłowe. Dwa te warunki decydują o jego wartości reklamowej, przesądzają nie raz o rozwoju przedsiębiorstwa i dlatego artysta-grafik musi, prócz zdolności czysto rysunkowych, odznaczać się pomysłowością, inteligencją, oryginalnością, śmiałością koncepcyj.

Ogłoszenie musi być piękne; spełnienie tego warunku w dużej mierze zależy jest od tematu. Bo łatwiej jest oczywiście o skomponowanie pięknej reklamy samochodów lub klejnotów, aniżeli np. ...szczotek ze świńskiej szczeciny albo gwoździ.

Jednym z nielicznych tematów, które z natury swej już są piękne, jest kobieta, będąca dla setek tysięcy artystów od niepamiętnych czasów natchnieniem i niewyczerpaną skarbnicą pomysłów. Trudno jest zanalizować wartości estetyczne pięknego ciała kobiecego. Zagadnienie to zaprzętało wielu już estetów i artystów. Składają się na nie zapewne i proporcje całego ciała i miękka, harmonijna płynność linii, jakie znajdujemy w łuku warg, falistej krzywiznie piersi czy nóg. A prócz tych wartości, zbliżonych poniekąd do wartości w pewnym sensie obiektywnych (jeśli wogóle można mówić o pięknie obiektywnym), to czyż nie odgrywa większej jeszcze może, ogromnej roli, *the eternal feminine, das ewig weibliche*, wiecznie kobiece „coś”? Atrakcyjność tego „coś”, popularny dziś i zdemaskowany „sex appeal”



La gaine **ALPHA**

en caoutchouc très souple et inodore, amincissant et soutient parfaitement. Invisible sous la robe la plus légère, elle donne une sensation de bien-être incomparable et semble faire partie de vous-même!

Prix : 150 francs.

Les spécialistes ALPHA : gaines, boudillotes, bonnets de bain, etc., sont en vente partout.

FABRICANTS :

SCHOENFELD Frères
88, rue des Écoles. PANTIN

FEET
of
bodies

RIB

It is the only one that makes the most of sports clothes and bathing suits. It is more than ever, body-beauty is as important as face-beauty.

That explains the rapid pace at which Bathswear has been growing in vogue, for

TOUTE Femme ayant porté une fois la Gaine de J. Roussel, en devient si enthousiaste qu'elle ne veut plus se corseter autrement, parce qu'elle a enfin trouvé, réunis, le bien-être et l'élégance parfaite de la ligne.

ie et les Services que la Maison considère comme les, l'obligent à des créations que gasins.

• Frs 150 à Frs 600.
ns-gorge à partir de

eusement chez

Roussel
Paris

11^e Haussmann

11^e Malesherbes

otre Catalogue illustré envoyé gracieusement.

LA HAYE AMSTERDAM MILAN BRUXELLES LIÈGE
Avenue de la Gare 18, Leidschendam 17, rue de la Gare 144, Rue de la Gare 17, Rue de la Gare 17

*Le chic
de la Jambe
c'est la couleur
du bas!*

MADAME
TEIGNEZ ET RAVIVEZ
VOS BAS
AVEC...

RAVIBA

Produit de la **TEINTURE**
IDÉALE

Najlepsza reklama: ...kobieta w najrozmaitszych ujęciach i ...fragmentach

THE NEW

FORMAL

—WITH INVISIBLE FORM-FIT TIE!

● Backs are tremendously important this year. Witness the new Jantzen Formal—featured suit of the Southern beaches during the Palm Beach season. A chic back design with formal effect, contrasting shoulder straps and smart knitted belt—an ingenious adjustable draw cord in the back hem to assure a perfect fitting back always. Typically Jantzen in its smooth, comfortable, perfect fit. Jantzen quality is the highest and prices lowest in Jantzen history. You'll find the famous Red Diving Girl emblem on the label of every genuine Jantzen. Jantzen Knitting Mills, Portland, Oregon; Vancouver, Canada; London, England, Sydney, Australia.

Jantzen
The suit that put
style in swimming



Studio G. M. M. Free

Celom reklamowym służą zarówno fotografie pięknych pań, jak i rysunki



KESTOS, soutien-gorge rêvé, souple, agréable à porter. Donne la ligne de la jeunesse laisse le dos complètement dégagé. Conception pratique

Modèle Breveté et Déposé

EN VENTE PARTOUT, DE 19 A 65 FR

Pour le Gros **LIBRON & Cie**, 54, Avenue de Clugny, Paris.

Seuls fabricants et commissionnaires

(Structure garantie sur demande)

Magnin à Roubaix, 97, rue de Roubaix

SOUTIEN - GORGE

KESTOS



HAVE YOU DRIVEN THE NEW BUICK FOR 1932

WITH WIZARD CONTROL?



With the introduction of the new Buick Wizard Control, you have a new kind of motor car. Wizard Control, the great new Buick feature, combines the American, French, controlled by the foot and the new Buick Wizard Control. Most important, more driving pleasure made possible by the increased speed and stop of Buick's new high-speed V8 engine. More comfort and safety. Wizard Control Buick's new Wizard Control.

Wizard Control, a whole new kind of motor car. Wizard Control, the great new Buick feature, combines the American, French, controlled by the foot and the new Buick Wizard Control. Most important, more driving pleasure made possible by the increased speed and stop of Buick's new high-speed V8 engine. More comfort and safety. Wizard Control Buick's new Wizard Control.



le gant
NEYRET

vraiment lavable

vous recommande sa qualité

"SPHINX"

se fait en toutes formes

Exigez le nom Neyret sur chaque article

umieją dobrze wykorzystywać graficy użytkowi w plakacie i ogłoszeniu. Elegancka, smukła, wytworna sylwetka, ładna noga obcisnięta w jedwabną pończochę, nęcący zarys ust, wszystko to spełnia świetnie reklamowe zadanie. Przechodzień przystaje na chwilę przed słupem, by przyjrzeć się uśmiechniętej do niego z plakatu twarzyczce i — choć twarzyczka często okazuje się trochę zanadto słodka i cukierkowata — jednak cel jest osiągnięty. Czytelnik gazet zatrzymuje wzrok na zdjęciu pięknej, młodej kobiety w dessous — ogłoszenie, na któreby wcale może nie zwrócił uwagi, zostaje spostrzeżone i zwykle przy okazji, mimowoli nawet, przeczytane.

Na mocy znanego i zrozumiałego prawa psychologicznego łatwiej i prędzej spostrzegamy w polu widzenia przedmioty, wzbudzające zainteresowanie, aniżeli obojętne. I to jest je-

"You like them FRESH? So do I!"

You don't have to tell the woman who has
settled in Canada the beauty of a fresh
cigarette.

She knows all about it — that's the reason
she says enriched.

She has learned that the fine, fragrant,
sun-ripened choice tobaccos in Camels have
a perfectly preserved delicate midland all
their own.

She knows by a grateful throat's testimony.

what a relief this beautiful, mild, slow-
burning, fresh cigarette proves to smokers
everywhere.

Camels are from the United States and
fresh because they are made from fresh, rich
natural tobacco and Special Reserve — they
are never packed or stored.

If you don't know what the Reynolds
method of scientifically ripening best so as
to avoid packing or storing means to the
smoker — switch to Camels for just one day
— then leave them — if you can.

R. J. REYNOLDS TOBACCO COMPANY, Winston-Salem, N.C.

(Are you Enriched?)

R. J. REYNOLDS TOBACCO COMPANY, Winston-Salem, N.C. Camels are from the United States and fresh because they are made from fresh, rich natural tobacco and Special Reserve — they are never packed or stored. Camels are from the United States and fresh because they are made from fresh, rich natural tobacco and Special Reserve — they are never packed or stored. Camels are from the United States and fresh because they are made from fresh, rich natural tobacco and Special Reserve — they are never packed or stored.



Smoke a
FRESH
cigarette

CAMELS
Made FRESH — Kept FRESH



sans coutures
sans baleine
amincissant

Même la plus grande
souplesse, le soutien
modèle perfectionné sans
coutures, sans baleine,
Gilette & son
système de lacets
amincissent la taille, donnent
la silhouette la plus
idéale.

**CORSET-GAINE
MODULA**

En vente à la S^{ne} A^{me} des Bas OCCULTA
à PARIS : 36, rue Vivienne et
73, rue de la Harpette-Saint-Marc
à COCOTTE : 3, Place de Paris
à BRUXELLES : les Bonnes - 25, Montigny aux Hermines Pellicier
Chez toutes les Corsetières et Grands Magasins
Dess. OCCULTA, 60, rue Mercière, LYON

szcze jeden z czynników, które wykorzystuje reklama. Bo w natłoku dziesiątków ogłoszeń każdy niewątpliwie dostrzeże miłą główkę o subtelnych rysach (rękawiczki „Neyreta”) lub dwoje uroczych dziewcząt w negligach (papierosy „Private Seal”), podczas gdy atrakcyjność samych rękawiczek lub papierosów jest bez porównania mniejsza.

Bezsporną większość ogłoszeń, których motytem kompozycyjnym jest kobieta, stanowią naturalnie ogłoszenia najniezbędniejszych akcesoriów kobiecej toalety, począwszy od intymnych szczegółów bielizny aż do kremów, perfum i pudrów. Lecz obok nich kobieta reklamuje samochody i aparaty fotograficzne, papiery listowe i tapety, klejnoty i galanterie. Rysunek i fotografia to równorzędne narzędzia współczesnego artysty-grafika i oba służą w ogromnej ilości wypadków do oddania

HISTORIA JEDNEGO OGŁOSZENIA



...zaczęło się to od przypadkowego spotkania...

Wyszukiwanie...
PLUSKWI teści radkanki...
 pod osobistym kierownictwem rasy
 nowego specjalisty. Tel. 0 94 96.
PANIA w czarnym płaszczu z fu-
 trą w czarnym kołnierzu i w
 pantoflach, spotkając dnia
 10 k m o godz. 12 w pol na ulicy
 Barbary prosi o łaskawe podanie
 swego adresu pod "Niespokojna te-
 -knota" do biura ogłoszeń Wstrząsaka
 celem porozumienia się. 11293
POWIELAMY. 127717
 Piegi, zółte zamarzale plamy usu-
 wam — gwarancja. Kosmetycz-
 ny **LIBERTI**



WIM KARMAZ
SP. Z O. O.
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 138 · TEL.

...dancingi...

futro

Wielmożny Pan

Warszawska 37

2000.-

...lecz miłość jest nienasycona: przyszła kolej na futra i party...

ch



JAK POWSTAJE PRZEDSTAWIENIE

Wszyscy bywamy w teatrze. Niektóre sztuki zaliczamy do najpiękniejszych wspomnień lat dziecińczych. I ktoś z nas, bodaj przez jeden dzień nie kochał się w jakiejś artystce, lub artyście. W dziecięcych latach marzeń o wielkiej i wspaniałej przyszłości niejedno z nas śniło o sławie Modrzejewskiej lub Rapackiego, zwłaszcza po amatorskim przedstawieniu, po którym wzruszone ciotce i babki orzekły, że ten chłopak, albo dziewczyna ma prawdziwy talent, aczkolwiek nie wymawia pięciu liter.

Lecz złośliwe życie zadrwiło z tej wróżby. Chłopiec po wielu latach studiów został młodszym pomocnikiem starszego referenta, a dziewczyna wyszła za mąż, ma kilkoro dzieci, a do teatru wogóle nie chodzi. Woli kino.

Lecz rzadko który nawet ze stałych bywalców premierowych pomyśli o tem, jak właściwie powstaje przedstawienie. Jak cudownie, powoli rozwija się ten tajemniczy twór, który pewnego wieczoru okaże się olśniewającym, wspaniałym motylem, lub też monstrualnym potworkiem. Żaden z tych, którzy nie stykają się z teatrem „z tamtej strony” nie przypuszcza ile pracy, ilu godzin, rąk



Referent literacki teatru zapoznaje się z tekstem złożonej sztuki



Narada kierownika literackiego z reżyserem

roboczych i nerwów potrzeba, aby przygotować publiczności jednowieczorową rozrywkę, po której wraca do domu lub idzie na kolację (teraz coraz rzadziej, niestety) i po kilku dniach niemal zapomina o przedstawieniu.

Zajrzyjmy więc do tajemniczego laboratorium, w którym preparuje się przedstawienie.

Autor przez parę dni, lub tygodni chodzi zamyślony, zdenerwowany. Nie może sobie znaleźć miejsca, czegoś mu brakuje, czego szuka, sam nie wie czego chce. Nagle, ni stąd ni zowąd narodził się pomysł, trzeba go tylko opracować. Jest szkielet, który należy przyćbielec w ciało kilku aktów, czy obrazów, napelnić je krwią słowa, wyposażyć w nerwy dobrych sytuacji i ożywić akcję. Wreszcie biedak zamyka się w swoim pokoju, pali moc papierosów, lub gryzie cukierki i pisze. Szeleszczą kartki, skrzypi wieczne pióro po papierze. Wkońcu sztuka jest gotowa. Pięknie przepisana bezimiennymi paluszkami maszynistki i oprawiona.

Autor bierze pod pachę dziecko — pardon, egzemplarz swojej sztuki



Pierwsza próba „czytana”

i składa wizytę kierownikowi literackiemu teatru. Wizyta jest krótka, rozmowa lakoniczna. Autor ma minę pensjonarki przyłapanej na schadzce, a pod uprzejmą maską kierownika literackiego kryje się pełna ironji przesłanka:

— Hm... jeszcze jedna piła do czytania...

Lecz obowiązek obowiązkiem. Trzeba jednakże przeczytać. W miarę jak ubywa kartek, wzrasta na twarzy zainteresowanie. Popija herbatę i mruczy mile zdziwiony:

— Wcale nieźle, jak na początek... Trzeba trochę skrócić, kilka scen poprawić i możemy spróbować...

Sztuka wędruje do dyrektora i po kilku dniach odbywa się „sąd ostateczny”.

Obaj władcy życia i śmierci autora wymieniają uwagi, naradzają się, przewidują wszystkie możliwości:

— Grać, czy nie grać?... Chyba zagramy...

Autor przeszedł już przez pierwszą ogniową próbę. Sztuka przyjęta. Kogo w niej obsadzić, komu powierzyć główne role?... oto pytania, których bez pomocy reżysera rozstrzygnąć niepodobna. Trzeba dobrze się zastanowić, bo obsada, to połowa powodzenia. Wreszcie i te sprawy zadecydowano, ułożono obrazy i od tej chwili sztuka zaczyna przybierać widome, coraz realniejsze kształty. Rozwijają się jak plód w łonie matki, codzien coś przybywa, formują się kształty, dojrzewają.

Pierwsza proba, t. zw. „czytana”. Na ciemnej scenie, dokoła małego stołu zasiadają artyści, z dyrektorem teatru, względnie reżyserem na czele i każdy czyta swoją rolę. Już po tej pierwszej próbie grający starają się wywnioskować, czy sztuka pójdzie, czy też, jak to się mówi w gwarze zakulisowej, „zrobi klapę”. Po próbie czytanej, zaczynają się sytuacyjne. Przy pomocy krzeseł oznacza się drzwi, wejścia i wyjścia na scenę i niektóre sprzęty; aktorzy zaczynają grać. Z początku dość często zaglądają do ról, mruczą tekst pod nosem, zanim nie nadejdzie pierwsza próba pamięciowa. Gdzieś w ciemnym kącie siedzi autor, lecz jako laik, niewtajemniczony w misterja laboratorium, nic się jeszcze nie orientuje się co wyjdzie z jego dzieła.



Malowanie dekoracyj i ustawianie mebli na scenie



W pracowni krawieckiej teatru

Tymczasem, w zakamarkach i zakątkach teatru odbywa się inna praca. W wielkiej, jasnej sali spacerują jacyś ludzie z długimi pendzlami, które co chwila maczają w garnkach z farbami i pociągają leżące na ziemi płótna. Malują dekoracje.

Równocześnie w stolarniach zbijane są drewniane ramy, ściśle dopasowane do rozmiarów dekoracji, na które rozpina się następnie wymalowane płótna.

Często, zwłaszcza gdy ma być wystawiona sztuka historyczna, lub kostjumowa, wiele



Rusztowanie, które zamieni się na schody marmurowe

pracy mają fryzjerzy. Na specjalnego rodzaju krepie układają bujne, złociste loki, lub też siwe czupryny dostojnych starców. Przy pomocy nożyczek, grzebieni, rurek budują misterne koafiury, pretensjonalne fryzury lowelasów, lub naiwne koki sędziwych matron. W pracowniach krawieckich przeraabiają, skracają lub podłużają, sztukują, lub szyją zupełnie nowe kostjумы. Ze wszystkich czasów i epok. Od greckiej logi do biedermeyerowskiego fraka. Habity mnisie i płaszcze koronacyjne, sobolowe szuby ruskich bojarów i krótkie tuniki żołnierzy egipskich.



Reżyser objaśnia, jak scena ma wypaść

Krawcy dość często narażeni są na kaprysy i złe humory aktorów, rzadko kiedy zadowolonych z kostjumów.

— To jest frak szambelański, panie Igielski?!... oburza się pierwszy amant — to jest worek do trumny... Hrabiego gram, a nie szewca! Rozumie pan?!...

Pan Igielski w milczeniu łyka gorzkie pigułki wymówek, pruje, przypasowuje, fastryguje i szyje pośpiesznie, bo frak musi być skończony na premierę. Że czasem w duchu życzy amantowi, aby rolę „położył na pysk” to rzecz inna

Wreszcie próby dobiegają końca i zbliża się dzień generalnej próby. O ile sztuka jest większa, o liczniejszej obsadzie i częstych zmianach dekoracji, zawiesza się przedstawienie i robi się generalną próbę wieczorem.

Aktorzy charakteryzują się, ubierają w kostjumy, słowem jak na przedstawienie. Ze sceny dolata gwar, głosy robotników i maszynistów, stukanie młotków. Drewniane rusztowanie zamienia się w marmurowe schody, lub królewski tron, przykryty purpurą. Wszyscy zdenerwowani. Reżyser biega z egzemplarzem, robi jeszcze notatki ołówkiem.

Długi dzwonek. Podnosi się kurtyna. Na ciemnej widowni w krzesłach siedzi dyrektor teatru, kierownik literacki, kilkunastu aktorów i... autor. Zobaczysz swoje dzieło, tak jak ukaże się ono na jutrzejszej premierze.

Reżyser klaszcze w ręce:

— Proszę państwa, zaczynamy!...

Aktorzy grają. Grają tak, jak na przedstawieniu. Kilka scen przemija wartko.

— Stać!... Żel!... jeszcze raz!... woła reżyser, kilkoma susami znajduje się na środku sceny i zaczyna tłumaczyć jak dana scena ma wypaść.

— Pan musi stać trochę dalej... a pani robi taki ruch, jakby chciała wyjść bardziej tyłem do publiczności...

Po kilku, czy kilkunastu przerwach i powtórzeniach akt skończony. Personel techniczny zaczyna ustawiać dekoracje do następnego. Przymierza się, próbuje, natęża lub przyciemnia światło.

— Kanapa więcej na prawo!... — woła reżyser — koło okna musi być przejście!... górne światło silniejszej!... Tak!... dobrze!... Zciemnić bok!... Za mocno!... Obraz przewiesić!...

W czasie przerwy podchodzi do autora:

— No jakżeż, zadowolony pan?...

Autor czerwieni się jak przedwojenna panna i bąka:

— Owszem... bardzo... tylko... tego... żal mi bardzo tej sceny przy końcu aktu...

— Musieliśmy skrócić... akt za długi... zresztą dobrze jest... przecina reżyser i wraca na scenę.

Nazajutrz premiera. Znamy ją wszyscy dobrze. Jest ona właściwie próbą generalną przed obliczem kapryśnej i wszechpotężnej publiczności. Sztuka zdobywa powodzenie,



Po premierze autor skupuje wszystkie pisma z recenzjami

albo też skazana jest bezapelacyjnie na zagładę. Bardzo często niewiadomo nawet dla czego. Lecz zapominać nie należy, że publiczność jest rodzaju żeńskiego, a więc rządzi się wyłącznie kaprysem.

Po premierze, autor, który wieczorem przeszedł męki czytécowe, przez kilka dni z rządu skupuje wszystkie gazety i szuka recenzji. Czyta i za głowę się bierze.

Jeden z krytyków pisze:

„Akcja zbyt zagmatwana rwie się i płacze w przeladowaniu szczegółami, świadcząc o nieopanowaniu techniki pisarskiej...”

Drugi znów dowodzi:

„Komedia byłaby świetna, gdyby nie zbyt przejrzysta fabuła i nieskomplikowane sytuacje, nie wystarczające na kilka aktów. Akcję należałoby urozmaicić...”

A widz, który był na premierze, czytając różne i krańcowo sprzeczne recenzje, też chwytą się za głowę i myśli, że dostał lekkiego obłędu...

Fot. Ruan

Jan Sokolicz Wrocławski

dział grafologa.

Do bezpłatnego korzystania z działu grafologa upoważnione są osoby, nadsyłające przy rękopisie wycinek z *pierwszej strony niniejszego zeszytu i każdego z następnych* (i. strona ogłoszeń), a *mianowicie prawy dolny jej róg*. Szczegółowe przepisy dla nadsyłającego swe pismo do oceny grafologa znajdują się w Nr. 83 na str. 131—132.

ODPOWIEDZI:

„Dudek” — zazdrość, bezczelność, a przytem słaba wola, da się więc zwyciężyć każdej namietności. Gwałtowny i mało łozny starania, aby nad sobą w tym względzie panować. Trochę elegant, więcej przywiązuje wagi do wartości zewnętrznych i materialnych, niż głębszych, umysłowych, moralnych. Ostry, nieznośny, nieopanowany, tyran in spe, choć nie o bezwzględnem, lecz raczej miękkim czyli zdradliwym obliczu. Zdecydowanej obłudy w nim nie znajduję. Zdrowej ambicji mało, zato ambicji wiele. Spryciarz — orjentuje się szybko, niczego zgłębiać nie lubi — pływa. Mroząca trzeźwość obok braku głębszego uczucia, niepewność siebie, brak zdecydowanej linii moralnej jak i wogóle zdecydowania, natomiast dużo zawziętości przy realizowaniu planów. Prostoty zgoła brak. W gniewie nie wyłączone ordynarne odruchy. Poczucie obowiązku wysokie. Końca z końcem związać nie potrafi, choć naogół administruje równomiernie i z poczuciem rzeczywistej potrzeby. Żyć lubi na szerokiej stopie. Ciekawy, chętnie dowiadytuje się o cudzych sprawach i interesach. Należy kultywować wolę i etykę moralną, bo wrażliwość na wpływy znaczna, a inklinacyj do złego wiele.

„Jan Zan, ć — Jarosław” — utracjusz. Jego finanse przedstawiają się beznadziejnie i stąd coraz większe ciążenie ku zdobywaniu pieniędzy choćby mniej uczciwym sposobem. Jakiegokolwiek taktyki gospodarczej, oglądania się na jutro nie znajdziesz. Tą drogą można zająć bardzo daleko. Dokładne i sumienne spełnianie obowiązków służbowych nie uchroni pana przed zgubnymi skutkami lekkomyślnego życia. Seksualizm wybija się na czoło innych namietności. Trzeba się z tą „bandą” wziąć za bary, bo jeśli nie pan jej, to ona panu łeb urwie. Zdolności znaczne, determinacji nie brak, jak i siły wogóle, więc nie tak trudno będzie wziąć się „w kupę”. Światopogląd trzeźwy, ambicji i zapału poddostatkiem, skłonność do zastanawiania się, przeczność — to dalsi konkretni sprzymierzeńcy pana przeciw „bandzie”. Umie pan działać jak piorun, a zawziętość aż bije od psychologicznej postaci (pana) — obiecuję sobie po nich bezwzględne zwycięstwo i w następstwie szczęście dla waści. — Jeśli pan chciałby dowiedzieć się jakich szczegółów odnośnie do umysłu i woli, proszę napisać jeszcze raz. Oczekuję krytyki.

(Dalszy ciąg w n-rze następnym)

Obowiązkiem uczestników „Działu grafologa” jest nadsyłanie rzeczowych krytyk otrzymywanych ekspertyz grafologicznych, ich usposobienia. Prosimy o tem łaskawie pamiętać.

Osoby, życzące sobie załatwienia w drodze listownej, mogą nadsyłać rękopisy (odpowiadające wszystkim warunkom wymienionym w n-rze 83 „Naokoło Świata” strona 131—132) przeznaczone do analizy pod adresem: Bronisława Łyczczarza, Warszawa, Marszałkowska 53a m. 31. Warunki: wycinek z ostatniego numeru „Naokoło Świata”, oraz kwota zł. 5 — plus porto (według życzenia, na list zwyczajny lub polecony). W tym wypadku zbędne są pseudonimy, natomiast potrzebny jest adres prywatny lub poste-restante.

REDAKTOR:
WACŁAW GEBETHNER

WYDAWCA:
TOW. WYDAWNICTW PERJODYCZNYCH
Sp. z o. o.